

MACIEJ WOJTYSZKO

SYNTEZA



INSTYTUT WYDAWNICZY „NASZA KSIĘGARNIA”
WARSZAWA 1978

Szanowni Czytelnicy!

Powieści dzielimy na realistyczne i nierealistyczne. Powieść realistyczna opowiada o zdarzeniach i rzeczach realnych. Powieść nierealistyczna — przeciwnie.

Kiedy autor nie może się zdecydować, nazywa swoją powieść powieścią fantastyczno-naukową.

Kiedy autor jeszcze bardziej nie może się zdecydować — nazywa swoją powieść powieścią przygodową.

Kiedy nadal ma wątpliwości — nie pozostaje mu nic innego, jak zatytułować:

Synteza

Powieść w sześciu rozdziałach

Rozdział pierwszy
czyli
Łatwiej zacząć niż skończyć

*Wielka! O, wielka to dla mnie przyjemność,
Prosić cię, Elu, na pierwsze śniadanie!
Słońce już dawno rozproszyło ciemność,
Pora najwyższa na konsumowanie.
I oto piękna maksyma myśl cieszy:
Kto je, ten tyje, a jedząc nie grzeszy.*

Robot — komputer jakby zaczerpnął tchu i ryknął o ton głośniej:

Kto je, ten tyje, a jedząc nie grzeszy!

— Franciszku, kto cię tak głupio zaprogramował? — zapytała z wściekłością Ela, wy-szarpując kołdrę (którą Franciszek ściągał z niej metalowymi szczypcami) i siadając na łóżku.

*Piotruś niezwykle i inteligentny
Ułożył program aż na dni czterdzieści.
Przez dni te rymów wyszukane dźwięki
Będą ci ucho, o Elżbieto, pieścić.*

— Oszaleć można! — jęknęła dziewczynka. — Ładnie zaczynają się wakacje! Czy ten mój brat nie mógłby się zainteresować czymś innym, a nie programowaniem robotów? Rok temu zaprogramował cię tak, że cały czas mówiłeś do mnie „waszmość panna!”, a do mamy „pani dobrodziejko”. Potem znowu tytułowałeś mnie „córka bladych twarzy”, a teraz wiersze. Koszmar! Czy to nie najstraszniejsza rzecz w Kosmosie mieć młodszego brata?

*Bywają rzeczy gorsze znacznie:
Grad meteorów sypać zacznie,
Wygaśnie słońce, niszcząc życie,
A choćby nawet i rozbicie
Atomu — straszne to zdarzenie,
Od brata gorsze nieskończenie!*

— odparła maszyna błyskając pogodnie światłami.

— I jak zwykle nakręcił go przeciw mnie — mruknęła do siebie Ela, a głośno powie-działa — dobrze, już dobrze, zaraz idę!

Robot odwrócił się i odjechał do kuchni.

„Trzeba będzie unikać zadawania głupich pytań — myślała

dziewczynka — bo inaczej, co i rusz Franciszek będzie prawil mi wierszowane morały. Że też znowu zapomniałam o terminie programowania”.

Tak było już od kilku lat. Tatuś nie miał zbyt wiele czasu i proste prace domowe prze-kazał Piotrusiowi. Piotruś regulował holowizor, włączał urządzenie czyszczące i wentylujące, a przede wszystkim programował Franciszka.

Z początku zamawiał typowy program robota gospodarskiego R-1, ale potem wpadał na coraz to nowe pomysły tak, że cała rodzina miała ich powyżej uszu. Niestety, choć za każdym razem obiecywali sobie, że dopilnują następnego terminu i nie pozwolą Piotrusiowi dokony-wać zmiany na własną rękę, zapominali w nawale obowiązków o dacie i znów Franciszek witał ich któregoś dnia nową formułą: „Milady, śniadanie podano!” albo: „Bądź pozdrowiony ojce swych dziątek, czas śniadać!”

Ze względów technicznych nie warto było zmieniać programu i tak zostawało na prze-raźliwie długich dni czterdzieści. Maszyna sprawowała się znakomicie, przygotowywała wszystkie posiłki, była uprzejma, dbała o porządek, wykonywała każde niesprzeczne polecenie — tylko ten styl!

Piotruś powtarzał w odpowiedzi na głoszone pretensje:

— Styl to człowiek! Nasz Franciszek świadczy o nas!

Dopiero historia z ciotką Florą przeciągnęła strunę.

*

Ciotka wpadła jak rakietka zaraz po śniadaniu.

— Cudownie! — wrzasnęła rzucając się w fotel. — Cudownie dziś wyglądasz, moja kochana! Jak na siebie oczywiście! — dodała obrzucając mamę krytycznym spojrzeniem. — Czemu dzieci jeszcze nie w szkole? Ach tak, prawda! Wakacje... No, więc co to ja mówiłam? A gdzie Al? Już pojechał do Instytutu? Nawet go chyba widziałam na dachu... Wsiadał do takiego hałaśliwego awiokoptera. To wasz? Ciekawe, dlaczego Al tak szybko wystartował? Nie mógł poczekać, kiedy widział, że ląduję? Zresztą mniejsza z tym... Ileż ta Ela ma lat? Czternaście czy piętnaście? Czternaście, duża dziewczynka. Ja w jej wieku wyglądałam mło-dziej...

— Bum! — Głośno odezwał się Franciszek, który właśnie wniósł

talerz z owocami.

— Co ta maszyna wygaduje! — zdziwiła się ciocia. — Ile razy jestem u was, ten robot zachowuje się nienormalnie. Powinniście go oddać do remontu! A nazwany! Robot może się nazywać Maks, Reks, Iks — ale Franciszek?! U mnie coś takiego byłoby nie do pomyślenia...

— Bum! — huknęła maszyna głośniejszym głosem niż poprzednio.

— No, proszę! — z triumfem oświadczyła ciocia. - Wyraźnie coś się psuje! Nie potrafię zrozumieć, jak ty możesz żyć w takim domu. Moja ty biedna...

— Bum cyk, cyk, cyk! — zawołał Franciszek radośnie. Postawił talerz z owocami na stole i wyraźnie ironicznie zamrugnął światłami.

Mama była czerwona ze wstydu. Powiedziała zakłopotaniem:

— To doskonała maszyna samoorganizująca! tylko wczoraj Piotruś zmieniał program i pewnie coś pokręcił.

— Franciszku — zwróciła się do robota — zlikwiduj przyczynę tych zakłóceń.

— Ja nie rozumiem — zaczęła ciocia i chciała powiedzieć: „nie rozumiem, jak można dziecku powierzyć tak odpowiedzialną pracę,” ale nie dokończyła. Stała się rzecz straszna. Franciszek chwycił ciotkę w pasie swoimi najdłuższymi chwytakami, uniósł w powietrze, podjechał do drzwi, otworzył je, wystawił ciotkę na dach, szczelnie zamknął drzwi i stanął obok nich.

Podczas tej operacji ciocia wrzeszczała:

— Stało się! To bunt, bunt! Och, że też tego dożyłam!

A mama i Ela jak sparaliżowane patrzyły na przerażającą egzekucję. Piotruś był u siebie w pokoju. Przybiegł słysząc krzyk i zażądał od robota, aby natychmiast wpuścił ciotkę Flore z powrotem.

Franciszek grzecznie wykonał żądanie i ciocia mogła wejść do mieszkania, ale nie prze-kroczyła progu, dopóki „ten szalony robot”, jak mówiła, nie został na wszelki wypadek zamknięty w kuchni.

Wprawdzie Piotruś nie chciał się przyznać, co miały oznaczać owe tajemnicze „bumy” i dość mętnie tłumaczył, jaki to rodzaj programu zafundował biednemu Franciszkowi, ale mama rzuciwszy synowi jedno z tych ciężkich spojrzeń, które mówią więcej niż najdłuższa przemowa, zaczęła zabawiać ciotkę rozmową. Na szczęście ciotki nigdy nie trzeba było zachęcać do mówienia. Ledwie ochłonęła z przebytego szoku, a już ciągnęła dalej:

— Może wzięłabym coś na uspokojenie? Choć właściwie czuję się spokojna. Mam doskonały charakter, droga Ewo, nigdy się nie denerwuję i nie lubię plotek. Ktoś inny dałby znać natychmiast o tym wydarzeniu do Urzędu Kontroli Maszyn, ale ja wolę, żeby to zostało między nami. Ostatecznie Aleksander jest znakomitym fachowcem i na pewno sam da sobie radę...

Dzieci po cichutku wyniosły się z pokoju gościnnego.

— Zobaczysz czym to się skończy — złowieszco zaśmiała się Elżbieta. — Cała bliższa i dalsza rodzina będzie wiedziała, że poszczuliśmy ciotkę komputerem.

— Zastanawiam się jak do tego doszło — odparł w zamyśleniu Piotruś.

— Zastanów się dobrze — powiedziała z przekąsem Ela — bo tatuś będzie na pewno też się zastanawiał.

— Opowiedz mi przebieg tej rozmowy od początku — poprosił Piotruś.

*

Tata powrócił z Instytutu po południu i rozpoczął regularne śledztwo.

— Piotrusiu — spytał tak miękkim głosem, że aż ciarki poszły po plecach — co to za program?

Piotruś zwiesił głowę. Nie miał siły dłużej się bronić.

— Detektor kłamstwa — wyznał.

— Detektor czego?

— Kłamstwa. Aparatura wykrywająca każde fałszywe stwierdzenie. Każde kolejne kłamstwo sygnalizuje dźwięk „bum”, a po trzecim kłamstwie rozlega się „bum, cyk, cyk, cyk!”. Chciałem zrobić na złość Eli, żeby nie opowiadała różnych niestworzonych bajeczek. Więc zorganizowałem specjalną aparaturę wykrywającą fałsze w głosie. Sądziłem, że tylko Ela będzie, że tylko ona czasem coś...

— Rozumiem — tatuś przyjrzał się synowi badawczo. — Detektor kłamstwa. Robot ma wyrzucać za drzwi twoją nieszczęśliwą siostrę za każde nieopatrzone słowo. Ładny z ciebie braciszek!

— Nie, nie! Rozkaz, żeby usunąć ciocię wydała mama — gorąco zaprotestował Piotruś.

Mama była zdumiona.

— Niczego takiego nie mówiłam!

— Jak to? — żałośnie spytał Piotruś. — Przecież powiedziałaś: „Zlikwiduj przyczynę tych zakłóceń”, a przyczyną była ciocia Flora. Gdybyś powiedziała „przestań” albo „więcej się nie odzywaj” — ale przyczynę zakłóceń...

— Już wiemy, co ty nazywasz przyczyną zakłóceń — przerwał tatuś. — I wydaje mi się, że najlepiej będzie, jeśli oboje z mamą zlikwidujemy przyczynę naszych zakłóceń. Są wakacje i przez dwa miesiące wymyślibyście jeszcze tysiąc rozmaitych zakłóceń! Zaraz to załatwię!

Piotruś i Ela spojrzeli na siebie z rozpaczą.

— Za co ja? — jęknęła Ela. — Przecież nic nie zrobiłam!

— Wyobraźnia jest wspaniałym darem natury — powiedziała mama — ale jeżeli ktoś opowiada, rodzice mają w domu prawdziwy telewizor...

Ela była zdumiona.

— Ja coś takiego opowiadałam? Niemożliwe!

— Basia, twoja najlepsza koleżanka, włączyła dziś videofon i błagała mnie ze łzami w oczach, żebym pozwoliła jej zobaczyć nasz telewizor.

Ela wzruszyła ramionami.

— Strasznie naiwna jest ta Baśka. Wszystko bierze serio. Przecież wiadomo, że telewi-zory są tylko w muzeum. Co jej odpowiedziałaś?

— Że właśnie i nasz odesłaliśmy do muzeum!

Dziewczynka była wyraźnie wzruszona.

— Dziękuję ci, mamo, uratowałaś mój honor!

Piotruś z oburzeniem patrzył na siostrę.

— Ciągłe łże — powiedział. — To musi być jakaś choroba! Czy nie powinno się jej przebadać? Przecież ona buja z taką łatwością, że nawet detektor kłamstwa może się pomylić!

— Brat! — syknęła z goryczą Ela. — Matka zawsze osłoni człowieka przed zawiścią świata, ale brat!

*

Tak, tak. Sprawa nie jest prosta. W roku 2059 wysłanie dzieci na wakacje to bardzo skomplikowane zadanie.

Są tacy, którzy uważają, że skoro dzieci chcą przeżywać przygody, to po prostu należy je zamknąć w pokoju z holowizorem i już. Holowizja daje przecież całkowite złudzenie rzeczywistości.

Wszystkie wymiary i kolory oglądanych zjawisk są idealnie prawdziwe i można sobie obejrzeć zarówno zachód słońca nad morzem, jak i zasypane bielą góry, można się opalić pod promieniami tego nie istniejącego słońca lub zmarznąć podczas zadymki śnieżnej.

A można też przy pomocy maszyny elektronicznej zaprogramować sobie krwawą walkę z Indianami, mecz piłki nożnej, piękny bal, na którym zostajemy wybrani królem lub królową zabawy, wycieczkę w dół Nilu z polowaniem na krokodyle, podróż na jakąś odległą i tajemniczą planetę...

Niestety, niektórzy rodzice są przeciwnikami holowizji. Nie bez racji uważają, że dzieci powinny stykać się z prawdziwymi ludźmi, pokonywać prawdziwe przeciwności, walczyć nie z urojonymi, a z prawdziwymi przeszkodami. Twierdzą, że życie w miejscu, gdzie każde nie-bezpieczeństwo rozwiewa się w ostatniej chwili (strzały i toporki indiańskie, paszcze kroko-dyli, ciosy szpady zamieniają się o dziesięć centymetrów przed nosem w mgłę), nie może na dłuższą metę przygotować ich do rzeczywistych, twardych wydarzeń dnia codziennego.

Zdarzały się wypadki, że dziecko przyzwyczajone do holowizji nie uciekało przed nad-jeżdżającym pojazdem sądząc, że zjawia musi się rozwiać!

Toteż mimo oczywistych protestów przyjemność tę ograniczono do rozsądnych wymiarów i zezwalano dzieciom na włączanie holowizora tylko w gronie rodzinnym.

Za to nauka, zwłaszcza historii, znacznie zyskała na tym wynalazku. Dużo łatwiej jest każdemu zapamiętać, kim byli faraonowie, jeżeli spędził kilka godzin na ceremonii koronacji faraona odtworzonej zgodnie z najnowszymi badaniami.

Piotruś i Ela byli już zbyt dorośli, żeby tkwić jak małe dzieci w holowizorze, ale planowali, że podczas wakacji to i owo sobie obejrzą.

A tu zanosilo się na jakieś zesłanie!

— Wyrażna, uknuta zdrada — powiedział Piotruś do Eli wieczorem, kiedy szli spać. — Rodzice chcą zostać sami i wystrzelą nas choćby na Księżyc.

— Nie cierpię Księżyca — obruszyła się Ela. — kiedy trzy lata temu byłam tam na obozie harcerskim, to myślałam, że oszaleję. Ganiałiśmy z krateru na krater w ciasnych, dusznych kombinezonach, a instruktor nic, tylko usiłował zachwycić nas selenictwem.

— Księżycowe przygody — parsknął Piotruś. — Gdzieś dalej w Kosmos mogę lecieć, proszę bardzo. Ale ten Księżyc! Nudy na pudy! Dobrze dla przedszkolaków.

— Wszystkiemu sam jesteś winien — zaśmiała się złośliwie siostra i poszła spać.

*

Doktor Aleksander Zborowski pracował w Instytucie Kriogeniki jedenaście lat. Nie były to lata łatwe. Badania prowadzone przez kriogeniców służyły całej dwudziestomiliardowej ludzkości, a polscy specjaliści od lat wiedli prym w tej dziedzinie wiedzy. Zamówienia sypały się ze wszystkich stron, bowiem obniżenie temperatury bywa cudownym środkiem przy transporcie owoców, przy skomplikowanej operacji, przy zwiększeniu przewodnictwa metali i przy konserwacji dzieł sztuki.

Tatusz Eli i Piotrusia opracowywał najpierw metody przewożenia bydła na planety odległe o kilka lat świetlnych i osiągnął w tej specjalności duże sukcesy. Młode cielaczki i świnki przebywały podróż jako sztywne kostki lodu, by potem po przejściu przez odmrażalnik 0-24 spacerować sobie, porykiwać i pokwikiwać radośnie na łąkach jakichś dalekich planet, gdzie inni fachowcy stworzyli w międzyczasie atmosferę podobną do ziemskiej.

Totem doktora Zborowskiego awansowano i stał się szefem zespołu zajmującego się odmrażaniem i zamrażaniem ludzi. Szczerze mówiąc, chodziło głównie o problem odmrożenia, bo zamrażać umiano już dawno.

Odmrażanie ludzi zamrożonych po roku 2000 nie stanowiło żadnego problemu, zresztą specjalny Kodeks kriogeniczny regulował prawną stronę zagadnienia — kto, kiedy, gdzie ma prawo być zamrożony.

Hibernowano więc pilotów lecących na dalekie szlaki po to, by nie tracili czasu życia w niewygodnych warunkach statku kosmicznego, hibernowano także tych nielicznych ludzi, którzy

zapadali na chorobę jeszcze obecnie nieuleczalną. Takich chorych zdarzało się dwóch, trzech na rok i stanowili oczywiście sensację dla całej ludzkości. Robiono z nimi wywiady w holowizorach, omawiano ich przypadek publicznie, a lekarze zabierali się natychmiast do badań, by po roku, najwyżej dwóch odmrozić i wyleczyć pacjenta.

Niestety, jak dotąd, a był to rok 2059, nie umiano odmrozić ludzi nieudolnie hibernowa-nych między rokiem 1970 a 2000.

Naukowcy z olbrzymią pasją i energią usiłowali uratować choć jednego z owych pionie-rów, którzy ryzykowali nie wiedząc, co ich czeka, ale wyniki były bardzo skromne.

Nie udało się uratować kilku amerykańskich milionerów, nie było szansy, by powrócić światu paru polityków, którzy pod koniec owocnego życia zdecydowali się na lodówkę zamiast godnego pogrzebu.

Z trudem przywrócono życie pewnemu pilotowi, hibernowanemu w 1997 roku po wy-buchu silników nuklearnych eksperymentalnego awiokoptera i był to właściwie jedyny sukces grupy kierowanej przez doktora Zborowskiego.

Miał też doktor jeszcze inne troski prócz nie najlepszych rezultatów prac badawczych. Dopóki nie był szefem, nie potrafił sobie nawet wyobrazić jak nieprzyjemnie być szefem.

Szedł właśnie korytarzem usiłując w jakiś sposób wykręcić się asystentowi Pacule, który z uporem atakował:

— Po pierwsze, panie doktorze, jestem już dwudziestopięcioletnim pełnoprawnym oby-watelem, po drugie, mam duże osiągnięcia w pracy, po trzecie, już prawie wszyscy w naszym Instytucie dostali przydziały, po czwarte, rada zakładowa wystawiła mi jak najlepszą opinię...

— Rozumiem, panie Karolu, doskonale rozumiem — wykręcał się doktor — i w pełni popieram pańskie podanie, ale niestety sam pan pojmuje jeżeli limit wyczerpany...

— Jakoś dla pana doktora limit się nie wyczerpał — złośliwie syknął asystent Pacuła.

— Ja swój przydział dostałem piętnaście lat temu — odparł z rozpaczą w sercu tatuś Eli i Piotrusia — i wtedy miałem trzydzieści pięć lat, proszę pana, a pan nie może poczekać rok dłużej.

— Już tak trzy lata mnie zwodzą, panie doktorze, a to sio, a to owo. Gdyby pan doktor zechciał jako przełożony dołączyć swoją

opinię...

— Pan wie, jakie mi potem robią w Zarządzie piekło? — warknął Zborowski. — Wzywa mnie dyrektor i zaczyna: „To wy nie wiecie, że mamy limity, że trzeba się trzymać przepisów, że podwyższono nam wskaźniki!”

— A mnie żona w domu co dzień to samo: Wszyscy sąsiedzi już mają, ci z naprzeciwka to już trzeci przydział w ciągu pięciu lat, tylko mój mąż taki niezdara. Aviokopter załatwiałeś sobie najdłużej z całej dzielnicy, na lepsze mieszkanie czekaliśmy prawie rok” — i tak dalej i tak dalej. Ja, panie doktorze, nie mogę w tych warunkach pracować.

— Dobrze, przyjdźcie potem do mojego gabinetu, zobaczę, co się da zrobić — odparł złamany Zborowski.

— Dziękuję, serdecznie dziękuję, panie doktorze! — wrzasnął asystent Pacuła i popędził do pracy jak na skrzydłach.

Doktor Zborowski szedł zaś dalej korytarzem i z rozpaczą myślał, jak to strasznie być szefem.

Nikt nie lubi podejmować decyzji, jeśli tak czy inaczej czekają go za to przykrości. Doktor najchętniej oddałby cały splendor władzy, gabinet i automatyczną sekretarkę, eleganckie zaproszenia na kongresy naukowe, wyższą gażę — za odrobinę świętego spokoju i szanę przeprowadzania swych badań w ciszy.

Niestety, nie było mu dane w tym dniu łatwo dotrzeć do laboratorium, które złośliwi koledzy z innych działów nazywali „kryptą” albo „katakumbami” z uwagi na rząd stojących tam pojemników z zamrożonymi ludźmi.

Ledwo przeszedł parę kroków, a już na horyzoncie zamajaczyła docent Irena z Zarządu.

— W przyszłym tygodniu lecisz do Nairobi — powiedziała. — Potrzebna im ekspertyza.

Doktor żałośnie kiwnął głową.

— A, jeszcze jedno. Przed piętnastoma minutami mi wpuściłam Elę i Piotrusia do twego gabinetu Powiedzieli, że poczekają.

— Co? — zdumiał się nieszczęsny pracownik naukowy. — Jakim cudem dostali się do Instytutu?

— Ja ich wpuściłam — odparła pogodnie docent Irena. — Powiedzieli, że mają ważną sprawę do ciebie.

— Dziękuję ci, ale może lepiej było...

— Wyglądali na bardzo zaaferowanych.

W głowie doktora Aleksandra błysnęła okrutna myśl.

— W porządku — powiedział. — Są tu moje aniołeczki. Dziękuję ci, Ireno.

Nacisnął wmontowany w górną kieszonkę aparat łączności z pracownikami i powiedział:

— Proszę do siebie asystenta Pacułę — po czym prawie radośnie wszedł do gabinetu.

— Tato — oświadczyła Elżbieta — stała się rzecz straszna!

— Co takiego?

— Nie możemy nigdzie wyjechać!

— A to czemu?

Ela zaczerpnęła tchu i powiedziała:

— Ponieważ ciotka Flora nas zadenuncjowała!

— Co ty opowiadasz, dziecko moje?

— Tak jest, dziś pojawił się jakiś człowiek z Urzędu Kontroli Maszyn i oznajmił, że poinformowano go o zbuntowanej maszynie w naszym mieszkaniu. Obejrzał Franciszka dokładnie, a potem zażądał, aby nikt z naszej rodziny nie wyjeżdżał z miasta przez dwa miesiące!

— Ach tak, rozumiem — tatuś pokiwał głową.

— Asystent Karol Pacuła — powiedziała sekretarka-automat.

— Proszę, proszę, panie Karolu — ucieszył się tatuś. — Zna pan moje dzieci, prawda? Może zechcesz, Elu, powtórzyć historię, którą przed chwilą opowiadałaś?

Ela spojrzała nieufnie na ojca i na asystenta Pacułę, zaczerpnęła tchu i zaczęła:

— Wczoraj nasz robot Franciszek wyrzucił ciotkę Florę z mieszkania, a właściwie wystawił, bo Piotruś go zaprogramował tak, że jak mama powiedziała „usunąć przyczynę”, to Franciszek ciotkę wystawił i ciotka...

— Ta wystawiona? — bystrze zapytał asystent.

— Właśnie. Widocznie dała znać do Urzędu Kontroli Maszyn i przyszedł pan z Urzędu i zabronił nam wyjeżdżać wszystkim na wak... to jest na okres dwóch miesięcy z miasta.

— A pan, panie doktorze, ma jechać na kongres za dwa tygodnie. No, to ładnie pana urządzili.

— Chwileczkę, panie Karolu. A jak wyglądał ten człowiek, Piotrusiu?

Piotruś milczał chwilę ze spuszczoną głową, po czym powiedział:

— No, taki, zwyczajny.

— Wysoki, przystojny brunet o błękitnych oczach — wtrąciła Ela. — Żółta kurteczka stebnowana pomarańczowo, białe spodnie, czarne miękkie buty. Przyleciał fioletowym avio-kopterem.

— To ja go chyba znam — stwierdził Pacuła. — Był kiedyś u nas, jak się zepsuł...

— Jeszcze moment — powstrzymał go doktor.

— Powtórz, Piotrusiu, dokładnie, co powiedział ten brunet.

Piotruś, którego oczy błądziły gdzieś na wysokości czubków butów, chrząknął.

— No, żeby zostać i nie wyjeżdżać.

— Swoją drogą to skandaliczne, że wprowadził ten zakaz bez poinformowania państwa osobiście — zdziwił się Pacuła. — Przecież takie zakazy zdarzają się tylko w wyjątkowych wypadkach jakaś groźna awaria sprzętu, coś...

Doktor Aleksander spojrział na niego ironicznie«

— Proszę o połączenie mnie z Głównym Urzędem Kontroli Maszyn.

— Ta wiadomość mogła tam jeszcze nie dotrzeć — powiedziała szybko Ela. — On leciał gdzie dalej, ten brunet...

— Daj spokój — przerwał Piotruś. — Nie było nikogo. Polecimy na ten Księżyc.

— Na jaki znowu Księżyc? — zdumiał się pan Karol.

— Nie było nikogo, tatusiu — przyznała ze skruczą Ela. — Ale to uważaliśmy za naszą ostatnią szansę, żeby nie lecieć na Księżyc.

— Wcale nie myślałem o Księżycu — odparł ojciec. — Myślałem o wizycie u dziad-ków.

— Naprawdę? — wrzasnął Piotruś — Tatusiu,, jesteś cudowny, kochany, jedyny!

— Tatuśku! — pisnęła Ela. — To wspaniale!!

— No, ale po tym straszliwym kłamstwie sam nie wiem, co robić — powiedział doktor, — Przecież wy kłamiecie jak najęci.

— A czy nie mówiłem, że Franciszkowi potrzebny jest detektor, tatusiu — ucieszył się Piotruś.

— Zjeżdżajcie stąd jak najszybciej, bo was zamorduję — oświadczył ojciec. — A wieczorem porozmawiamy!

*

— No i co, panie Karolu? Nadal się pan upiera przy swoim przydziale? — zapytał, gdy Piotruś i Ela wyszli.

Karol Pacuła był zdumiony.

— Więc oni to wszystko skłámali? — zapytał.

— Nie wszystko. Robot jest popsuty naprawdę — odparł doktor Aleksander z ironią, jak przystało na kriogenika, chłodną.

— Niesłychane...

— Tak... No więc, popierać pańskie podanie o przydział?

— Słucham? Ależ tak, tak, panie doktorze!

— Po tym wszystkim, co pan tu zobaczył?

— Cóż takiego, zwykłe, dziecięce figle.

— Mam rozumieć, że nadal pan się upiera?

— Oczywiście, oczywiście, ten przydział mnie uszczęśliwi...

Doktor Aleksander pokiwał ze współczuciem głową i podyktował automatycznej sekre-tarce wniosek do Zarządu:

— Popieram podanie obywatela Karola Pacuły o przydzielenie prawa do posiadania dwojga dzieci. Mimo przekroczenia przez naszą Instytucję przewidzianych limitów, obywatelowi Karolowi Pacule wyżej wymieniony przydział powinien być przyznany, gdyż jest on sumiennym pracownikiem i przypuszczam, że będzie cierpliwym ojcem.

Kierownik Grupy Badawczej I. K. dr Aleksander Zborowski.

*

Dziadek i babcia obsługiwali wielką hodowlę glonów. Mieszkali na pięknej, sztucznej wysepce pełnej kwiatów, drzew i zwierząt. Organizacja Emerytów starała się wynajdywać swoim członkom mało męczące zajęcia, ale takie, które są użyteczne społecznie.

Do takich zajęć należała głównie hodowla. Ci, którzy przekroczyli osiemdziesiąty rok życia, nie bardzo nadążali za tempem prac badawczych, przenoszono ich więc do zajęć lżej-szych. Cóż to za obowiązek dwa, trzy razy dziennie nacisnąć guzik, żeby następny ładunek glonów został wyłowiony i przeniesiony w głąb wyspy?

A potem raz na miesiąc do wyspy dobijał supertankowiec, który już przygotowane pre-fabrykaty zawoził do bazy. A dalej... z glonów

robiono wszystko: klopsiki i sałatki, pierniczki i parówki, czekoladki i bułeczki.

Dziadek z babcią lubili swoją wyspę i zamieniali ją systematycznie w prawdziwy dziki busz, gdzie zamieszkiwały wszystkie gatunki zwierząt.

Dziadek nie znośił wpuszczać na swoją wyspę obcych, bo płoszyli zwierzęta i niszczyli przyrodę.

— Najważniejsze, żeby wszystko było prawdziwe — mówił dziadek. — Żeby nie było żadnych tam filmowych drzew, udawanych kwiatów, sztucznych widoczków. Kamień — to kamień, chmura — to chmura, ziemia — to ziemia.

Ichociaż miał dokładne dane meteorologiczne i mógł z łatwością zamówić deszcz lub pogodę w porozumieniu z Głównym Zarządem Pogody, nigdy nie zamawiał niczego.

— Głonom to obojętne, a ja lubię naturalność — tłumaczył przyjaciołom. — Znacie Robinsona Cruzoę?

— Te wszystkie malowane drzewa — wtórowała mu babcia — to coś obrzydliwego! Idę sobie po mieście, patrzę: śliczna lipa kwitnie, pachnie, szumi... Podchodzę bliżej, dotykam kory, a ręka przechodzi mi na wylot! Okazuje się — projekcja holowizyjna, czyli rzeczywiście lipa, a nie lipa...

Co najdziwniejsze, zarówno dziadek jak i babcia przed pójściem na emeryturę pracowa-li jako architekci i projektowali różne niezwykle formy domów i miast.

— Dopóki jeszcze sadiło się pojedyncze domy, to było fajnie — narzekał dziadek — ale potem, Kiedy przyszły te wielkie osiedla, to już mieliśmy dość.

„Sadzić domy” oznaczało w»języku architektów sypać proszek, który po polaniu spec-jalnym płynem rósł na wysokość paru metrów, jak kolorowa ściana. Projektant rysował zama-wiającemu klientowi szkic domu, po czym gdy klient wyrażał zgodę, autor zaczynał rozsypy-wać proszek w zaplanowany sposób. Potem polewał całość płynem i po upływie czterech godzin dom wyrastał niczym grzyb. Wystarczyło go pokryć dachem, odczekać godzinę, aż stwardnieje, i wnosić sprzęty. Domy takie, mimo że piękne i łatwe zarówno w budowie, jak w likwidacji (starczyło pokropić innymi chemikaliami i kurczyły się znów w proszek), przestały być popularne, gdy ludzkość przekroczyła liczbę piętnastu miliardów.

Indywidualnych zamówień było coraz mniej i tylko babcia, która doradzała, jak urządzić standardowe wnętrza w osiedlu, czuła się jeszcze trochę potrzebna.

Zresztą, co tu dużo ukrywać, oboje byli zmęczeni ciągłymi zmianami i następne osiemdziesiąt lat, po pierwszej osiemdziesiątce, pragnęli spędzić odrobinę spokojniej. Dlatego z zadowoleniem przyjęli propozycję pracy na wyspie, którą stopniowo zmieniali w rezerwat i muzeum. Babcia tknęła nawet ręcznie małe dywaniki do pokoi, a w gabinecie dziadka stały drewniane meble, w których nie było ani kawałka plastiku!

Wnuki i dziadkowie kochali się bardzo, ale podczas roku szkolnego nie mogło być mowy o spotkaniu. Mieszkali za daleko od siebie. A i podczas wakacji doktor Aleksander nie zawsze chętnie puszczał rodzeństwo na zaczarowaną wyspę, gdyż uważał, że dzieci powinny się nauczyć współżyć w grupie, z kolegami. Z pedagogicznego punktu widzenia lepiej, aby przebywały w grupie rówieśników niż na bajkowej wyspie.

— To tak jak z lodami — rozważała Ela. — Dlatego są niezdrowe, że mi najlepiej sma-kują.

— Lody są niezdrowe w większych ilościach niż pół kilo — odpowiadała mama. — Nawet dla potomków kriogenicznych. Diczcie na tej wyspie strasznie. Ela po powrocie skacze jak koza, a Piotruś rozbija meble.

— To wina ciężenia, mamusi — usiłował wytłumaczyć Piotruś. — Na wyspie jest nieco inne przyciąganie...

Ale mama machnęła tylko ręką i oświadczyła:

— Porozmawiamy o tym w domu. Czy nie widzicie, że mam mnóstwo pracy? — i wyrzuciła ich z laboratorium.

*

*Skoro jesteście, choć o późnej porze,
Niech starań swoich natychmiast dołożę
I do pokoju stołowego wjadę
Z pysznym obiadem!*

— Przywitał ich Franciszek.

— Doskonale, Franciszku, jesteśmy bardzo głodni — ucieszył się Piotruś.

— Ja poproszę najpierw o wielkie lody waniliowe, mogą być z owocami — szybciotko zadysponowała Ela.

*W moim programie (przykro mi szalenie)
Mam poczynione pewne zastrzeżenie,
Że najpierw zupę, potem drugie danie,
A później lody każde z was dostanie*

— odparł Franciszek.

— Ojejku, jejku! Mama dopilnowała nawet obiadu — jęknęła dziewczynka. — Coś ty najlepszego zrobił, Piotrusiu? To wszystko przez ciebie! Całe szczęście, że jestem najwyrozu-mialszą i najlepszą ze starszych sióstr, jakie widział Kosmos.

— Bum — mruknął Franciszek.

— To ma być kłamstwo!?! — zaperzyła się Ela. — Pewnie tak zreflektowała się. — Franciszek jest zaprogramowany logicznie, a przecież ostatecznie w Kosmosie na pewno zdarzy się parę szlachetniejszych sióstr niż ja... Zresztą trzeba by się wdawać w dyskusję nad definicją, czym jest szlachetność. Czy szlachetniej wybaczać takiemu bratu jak ty, czy też siłą nawrócić go na drogę uczciwości?

— Nie ruszaj się przez chwilę — poprosił Piotruś. — Niech sobie przypomnę.

— Cóż ty chcesz sobie przypominać, chłopcze — zdumiała się jakoś nienaturalnie Ela.

— Ach tak, już wiem, odstawiasz Glorię Lamb — oświadczył brat.

Ela złapała poduszkę i cisnęła w Piotrusia.

— Nikogo nie odstawiam. Jestem sobą, sobą!

— Akurat — chichotał złowieszczo Piotruś. — Myślisz, że nie widziałem tych min, jakie robisz przed lustrem?

I rzeczywiście miał rację. Gloria Lamb, bohaterka serialu holowizyjnego pod tytułem „Miłość nadchodzi o świcie”, absorbowowała zarówno Elę, jak i wszystkie jej koleżanki.

W serialu tym na modnej fali nostalgii ukazywano lata siedemdziesiąte zeszłego stule-cia. Gloria Lamb kreowała w nim prostą urzędniczkę, czyli osobę zajmującą się przekłada-niem papierów. Były to lata, kiedy zamiast komputerów ludzie wykonywali szereg mechani-cznych czynności.

A więc ta prosta urzędniczka poznała urzędnika prostego jak ona,

ale na drodze ich życia stanęła szajka przestępców zwanych chuliganami.

— Ohydny melodramat — zawyrokowała mama. — Dzieci, do łóżek!

Oczywiście Ela uprosiła mamę i oglądała kolejne odcinki.

— No, więc owszem, podoba mi się ta artystka i co z tego? — Ela parsknęła urażona. — Z jaką ona gracją wsiada do tramwaju! Jedną ręką przytrzymuje poręcz, a drugą swobodnie wspiera i ramieniu towarzysza. Ja się też kiedyś przejadę tramwajem, zobaczysz!

— I masz w domu prawdziwy telewizor, prawda? — zarechotał Piotruś.

*

Asystent Pacuła znieruchomiał. Wskazówka na zegarze pomiarowym ruszyła! Czy to możliwe? Czyżby nareszcie? Ależ tak, nie ulega wątpliwości... wychyla się coraz dalej i dalej...

— Alarm! Alarm! Panie doktorze — powiedział drżącym głosem do nadbiegającego szefa — wskaźnik się podniósł o pięć kresiek.

Cała ekipa stała teraz pochylona nad dużym metalowym pojemnikiem. Wewnątrz był człowiek. Człowiek na granicy życia i śmierci, a może już dawno poza tą granicą? Może to jakiś błąd pomiarów, może jeszcze jedna omyłka, może...

Wpatrywali się z takim napięciem we wskazówkę aparatu, jakby chcieli ją popchnąć własnym wzrokiem w górę, ku życiu! A ona posłuszna wędrowała w coraz to wyższe rejony do ośmiu, do dziesięciu...

— Pełna blokada — rozkazał szef. — Przystępujemy do zabiegów!

Współpracownicy natychmiast ruszyli do swoich stanowisk. Zwijali się jak w ukropie.

— Trzy, dwa, jeden — Komenderował doktor Aleksander. — Start!

*

Po upływie pięciu godzin zdobyli nadzieję. Nie była to jeszcze wielka nadzieja, jeszcze trzeba było czekać co najmniej tydzień, zanim

nadzieja zamieni się w stuprocentową pewność lub w kolejne rozczarowanie.

Ale każdy miał teraz coś do roboty — mógł analizować, porównywać, szukać pozytywnych czynników, mógł wreszcie odgadywać, kim jest ten zamrożony daleki człowiek, które-go usiłują wyrwać z zaświatów. Pracownicy „katakumb” nie wiedzieli bowiem, kogo ratują. Taki był przepis wydany wiele lat temu przez Radę Narodów — przepis mający prawdopodobnie na celu zachowanie całkowitej bezstronności badaczy. Anonimowe pojemniki o różnych kształtach i fasonach nie miały na sobie żadnych znaków wskazujących ich pochodzenie i dopiero po całej serii zabiegów regeneracyjnych, kiedy już nie ulegało wątpliwości, jaki los czeka pacjenta, kriogenicy dowiadawali się, kim on jest.

„Jeżeli to któryś z tych zarozumiałych bogaczy — myślał asystent Pacuła — to wcale nie będzie mu lekko. Wszystko się zmieniło. Nikt mu nie pozwoli mieć tylu pieniędzy, rozkazywać ludziom, wtrącać się do polityki. Zobaczy biedak, na czym polega chłodne przyjęcie. No, z drugiej strony stanie się jednak bardzo popularny. Będzie mógł pracować jako konsultant artystyczny przy serialach typu »Miłość nadchodzi o świcie«. Tfu, nie życzę najgorszemu wrogowi”.

„Może to kobieta — myślała docent Irena. — Ktoś taki jak moja babka Agata, trochę oszalała ekscentryczka, pełna złotych rad na życie, bojowniczką walk o równouprawnienie kobiet, zamrożona razem z parasolką, którą wybijała szyby podczas demonstracji”.

„Uczony, prawdziwy uczony — marzył doktor Zborowski. — Kolega po fachu, w sile wieku, którego okrutna choroba zmusiła do ryzyka. Jaki będzie szczęśliwy, kiedy zobaczy triumf swej nauki, kiedy zrozumie, że otrzymał jeszcze pięćdziesiąt albo sto lat na dalsze badania! A jak mu pokażemy ten postęp, to wszystko, co się zdarzyło przez osiemdziesiąt lat! To by było nawet sprawiedliwe, żeby któryś z twórców tej dziedziny wiedzy mógł w nagrodę obejrzeć sobie jej obecne zaawansowanie”.

Na razie nic nie wiadomo. Wiadomo, że trzeba skorzystać z cienkiej jak włos szansy na obudzenie człowieka, który dawno, dawno temu został hibernowany.

A główne prawo ludzkości brzmi: Życie jest największą wartością. Życie to kwiaty i lody waniliowe, i wiersze, i awantury, i

zapach sztucznej lipy, i nawet obrzydliwy, kochany serial holowizyjny. Życie to strach i radość, kłamstwo i prawda, ciotka Flora i selenictwo.

I dlatego choć jest bardzo ciasno na Ziemi i logika nakazywałaby inaczej, asystent Pacuła starał się o przydział na dwa nowe życia i dlatego ta drgająca wskazówka aparatu budziła we wszystkich niepokój.

*

No i nie było żadnej awantury. Tata wrócił podniecony, przejęty dopiero na kolację.

— Jesteśmy na najlepszej drodze do pełnego sukcesu — oświadczył. — W związku z tym proszę nie przeszkadzać, muszę się przespać parę godzin i natychmiast wracam do Insty-tutu.

— A co z dziećmi?

— Porozmawiajmy z rodzicami, Ewuniu. Zamów rozmowę!

— Cześć, stary byku! — huknął dziadek na ekranie videofonu akurat wtedy, gdy skoń-czyli jeść kolację. — Coś mi słabo wyglądasz. Za dużo się przejmujesz czy co?

— Dzień dobry, mamu, dzień dobry, tato! — przywitał się doktor.

— A gdzie Ewa? — zainteresowała się babcia. — Gdzie dzieci?

— Ewa odbiera od obojga w sąsiednim pokoju przysięgę, że jeśli im pozwolę przyje-chać do was...

— Ura! — wrzasnął dziadek i aż podskoczył. — Nareszcie się zdecydowałeś. Trzeba cię namawiać jak upartego robota. Czytałeś takie opowiadanie Lema o upartej maszynie?

— Niestety, nie czytałem.

— I bardzo źle. Trzeba się interesować literaturą klasyczną, a nie tylko swoją wąską specjalizacją zawodową.

Oleczku ! — martwiła się babcia. — Masz jakieś takie cienie pod oczami. Uważaj na siebie, dziecinko...

— Jaka tam dziecinka — obruszył się dziadek. Chłopisko ma pięćdziesiąt lat, dorosły mężczyzna.

— Dla mnie on zawsze pozostanie dziecinką Arturze. Przecież to nasza dziecinka... — Babcia wzruszyła się i wytarła nos w chusteczkę.

— Kochani! — doktor podniósł obie ręce a góry. — Nie gniewajcie się na mnie, ale mam obowiązek tkwić teraz w Instytucie

dzień i noc. Jestem o krok od bardzo ważnego momentu. Czy mogę posłać do was dzieci?

— Mowa! — oburzył się dziadek. — On się jeszcze pyta!

— Ura! — wrzasnęły dzieci wypadając z sąsiedniego pokoju. — Słyszeliśmy wszystko! Dziękujemy, dziękujemy! — skandowały.

— Dobrze, nie krzyczcie tak. Zupełnie dobrze was słyszę — uspokoił ich dziadek.

— Jak myślisz — zapytał tatę — po kim z nas one dziedziczą impulsywność?

Rozdział drugi czyli Gorączka i chłód

Był mglisty, wrześnieowy poranek roku 1979.

Liście zaczynały powoli żółknąć i opadać, a reumatyzm dyktatora Muanty Portale y Grazia coraz dotkliwiej dawał się we znaki nie tylko samemu wodzowi, ale także otaczającej go świcie.

Co i raz któryś z adiutantów popadał w niełaskę i odjeżdżał na dwadzieścia lat ciężkich robót do obozu karnego zwanego „Dulce Patria”, pocieszali się tylko podeszłym wiekiem dyktatora i spodziewanym od lat zamachem.

Niestety, „Krwawy Muanta” rządził mimo swych osiemdziesięciu siedmiu lat ze straszliwą energią i tak kurczowo trzymał się władzy, jak to potrafią tylko ci, dla których nie ma innej przyjemności i satysfakcji, ci, którzy już dawno zapomnieli o jakichkolwiek innych przyjemnościach poza wydawaniem rozkazów.

Wola tyrana stanowiła w państwie najwyższe prawo i od lat nie podlegało ono żadnym zmianom poza okresowymi atakami reumatyzmu — wtedy było jeszcze okrutniejsze i bardziej mściwe niż zwykle.

— Gonzales, ty czarci synu — jęknął Muanta do swego jedyne go adiutanta, który prze-trzymał wszystkie ataki bólu dyktatora. — Czy ci ludzi skończą kiedyś swoją robotę?

— Oczywiście, ekscelencjo. Rektor Diaz prosi dzisiaj o audiencję. Zresztą zdaje się, że właśnie się zameldował. Proszę mi wybaczyc...

Gonzales zbiegł po kilku kondygnacjach schodów pilnie strzeżonych przez uzbrojonych strażników i wprowadził rektora Diaza na pokoje wodza

Rektor Diaz należał do ludzi wyjątkowo pięknych. Wysoki, z lekka siwiejący pan o brązowej cerze i bystrych, niebieskich oczach mógłby bez trudu reklamować garnitury, pastę do zębów lub wycieczki zagraniczne.

Oprócz tego rektor Diaz mówił kilkoma językami i należał do czołówki światowych biofizyków. Te wszystkie zalety nie przeszkadzały rektorowi być wyjątkowo szmatławym i pozbawionym charakteru osobnikiem.

— Diaz, ty draniu — warknął dyktator — ojczyzna czeka na ciebie. Kiedy do pioruna zainstalujecie te wyrzutnie?

— Wyrzutnie już są gotowe, ekscelencjo, teraz tylko zakładamy głowicę. To jest wspa-niała broń ekscelencjo. Naprawdę wspaniała. Wyprzedziliśmy wszystkie kraje o pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat. Nic nie jest w stanie zapobiec naszemu triumfowi Będzie pan władcą świa-ta...

— Cóż ja — fałszywie powiedział wódz. — Ważna jest nasza ukochana ojczyzna. To jej dobre imię, jej przyszłość mam na względzie, ja jestem już tylko starym, zmęczonym czło-wiekiem. Dobrze za maskowaliście bunkry?

— Mało dobrze, genialnie — oświadczył Diaz. — Generał Asteria wywiercił wspaniałe chodniki w głębi góry, a wystrzeliwać będziemy nasze pociski z dna morskiego.

— W porządku, Diaz, kiedy będę mógł obejrzeć całość?

— Pojutrze, ekscelencjo.

— Gonzales, trzeba przygotować noty dyplomatyczne do wszystkich krajów...

— Tak jest, ekscelencjo.

— Sam je pan napisze, pułkowniku. Obowiązuje najściślejsza tajemnica — jasne?

— Tak jest.

— Gonzales, pan jest głupi jak but i nigdy w życiu nie napisze pan osobiście żadnej noty, więc po co pan mówi: „tak jest”?

Pozwalam panu rozstrzelać tego, kto będzie panu pisał te noty.

— Dziękuję, ekscelencjo.

— Diaz, pan nic nie słyszał.

— Oczywiście, ekscelencjo.

— Santa Madonna!!! — ryknął nagle Krwawy Muanta. — Ależ mnie rwie! Wezwij jakiegoś lekarza. No, szybciej lekarza!

I cisnął statuetką kobiety, która symbolizowała wolność, w pułkownika Gonzalesa. Wolność miała od dawna obtłuczony nos i obie ręce, ale dyktator nie pozwalał jej usunąć z biurka. Była bardzo poręczna.

*

Mama Piotrusia i Eli pracowała w laboratorium badającym przydatność i użyteczność pożywienia. Ponieważ wszelkie substancje smakowe wytwarzano chemicznie, trzeba było zwracać baczną uwagę na to, czy aby jakaś nowa pikantna przyprawa, oryginalny w spożyciu płyn nie posiadają składników szkodliwych dla konsumentów. Mama wraz z koleżankami poddawały więc każdy przysmak skomplikowanym torturom, mającym na celu wyśledzenie wszelkich szkodliwych substancji.

W sąsiednim dziale zajmowała stanowisko ciotka Flora i obie panie odwiedzały się od czasu do czasu. Ściślej — to ciotka Flora odwiedzała mamę.

— No i co z tą zbuntowaną maszyną, moja droga? Czy ona aby na pewno jest zabez-pieczona, bo wiesz, z tymi sprawami nie ma żartów. Słyszałam o wypadku, że robot małą dziewczynkę...

— Daj spokój, Floro. Piotruś się pomylił i założył jakiś śmieszny program.

— Ładnie śmieszny, przecież ja mogłam umrzeć z przerażenia... Jakie apetyczne ciaste-czka, czy to z transportu do przebadania, będę musiała już chyba lecieć do siebie, my teraz badamy parówki, stopy parówek, mdło mi się robi na sam widok, podobno był jakiś wypadek i chcą wyeliminować, więc kiedy widzę słodyczne, to tak bym chrupała...

— Floro, proszę cię — powiedziała mama, ale już było za późno. Ciotka w najlepsze zjadała ciasteczko z tacy i mówiła dalej:

— Uhhh... pyszności! Po co to analizować? Ja sama na

podniebieniu czuję, że wszy-stko w porządku... zapach, smak, wypiek... Powiadam ci, nie ma jak zwykła degustacja. No, zresztą jestem przekonana, że... — twarz ciotki powoli się zmieniła, znieruchomiła i ciotka głosem bardzo spokojnym, zwolnionym oświadczyła — Nie wiem, o czym...

Ta niesłychana metamorfoza, jakiej uległa ciotka przeraziła mamę.

— Floro! — zawołała potrząsając kuzynką. — Floro!

— Tak, słucham? — odpowiedziała powolutku Flora.

— Dobrze się czujesz?

— Doobrze... chyba dobrze...

— Co ci się stało?

— Mnie? Nic...

— Jak to, a czemu milczysz?

— Bo... tak...

— Co tak?

— Po co...

— Co po co?

— Nie wiem...

— Możesz wstać?

— Mogę.

— To wstań!

Ciotka posłusznie wstała. Mama nigdy nie widziała ciotki w takim stanie.

— Czemu milczysz?

— Ja?

— Tak, ty!

— Bo... po co?

— Co po co?

— Mówić...

Tego już było mamie za wiele. Ciotka Flora, która nie chce mówić!

— Posiedź jeszcze chwileczkę, moja złota, a ja zaraz wrócę.

Flora posłusznie usiadła.

Po chwili do laboratorium wszedł lekarz zakładowy z mamą.

— Proszę tutaj, panie doktorze. Siedziałyśmy, rozmawiałyśmy. Pani Flora wzięła do ręki ciastko, zaczęła je gryźć i nagle coś się z nią zrobiło takiego — mama bezradnie wskaza-ła ręką ciotkę

znieruchomiła na stołku.

— Proszę oddychać — powiedział lekarz.

Ciotka zaczęła sapać jak po przepłynięciu jeziora.

— Proszę nie oddychać.

Ciotka wstrzymała oddech.

— No, więc wszelkie objawy wskazują... Niechżeż pani oddycha!
— krzyknął, bo pacjentka, mimo że zaczynała powoli zielenieć, nadal nie oddychała. — Wydaje mi się, że to coś poważniejszego. Zabierzemy panią do kliniki.

Flora smętnie skinęła głową.

— A ciastka trzeba natychmiast zabezpieczyć. Musicie je dokładnie przebadać. Podejrzewam, że dodano do nich jakąś substancję psychotropową. Zdumiewający przypadek. Czy były jakieś transporty, które mogły dotrzeć do konsumentów? Jeśli nie, to oszczędzimy sobie znacznych kłopotów. Niech pani zawiadomi kierownika.

Mama posłusznie pobiegła zawiadomić kierownika zakładu. Kiedy wracała, zdążyła jeszcze dostrzec przy wyjściu ciotkę Florę prowadzoną z troską pod rękę przez pielęgniarkę.

„A taką miałam ochotę na te ciasteczka — pomyślała pani Ewa. — Zdumiewająca historia! Czuję, że to dopiero początek jakiegoś skandalu czy afery. Biedna Flora, padła ofiarą własnego łakomstwa. Szkoda, że jej się to zdarzyło”.

Niepotrzebnie mama żałowała ciotki. Gdyby nie ów wypadek, być może afera skończyłaby się o wiele tragiczniej, choć w tym momencie nikt nie mógł jeszcze o tym wiedzieć.

Ten tydzień upływał zdumiewająco wolno. Już sam fakt, że ciotka została zwolniona ze szpitala dopiero po pięciu dniach, dowodził, że jej przypadek należał do poważnych.

Po pierwszej wizycie w szpitalu mama zrelacjonowała sprawę ojcu:

— Odnaleziono jakąś bardzo skomplikowaną substancję powodującą zanik woli. Dawka była podobno tak silna, że starczyłoby na osiem osób. Cud, że ona na miejscu nie upadła, miała jeszcze siłę siedzieć, mówić. Okazała się wyjątkowo odporna. Badamy w laboratorium wszystkie ciasteczka, ale tylko kilka ma takie straszne właściwości. Postawiono hipotezę, że mamy do czynienia z jakąś niepodlegającą filtracji substancją chemiczną, która występuje w małych

ilościach w oceanie i osiada na glonach. Wysłano od razu kilka ekip badawczych, które będą usiłowały ustalić pochodzenie trucizny. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, czym to grozi całemu światu?

— Jeśli chodzi o mnie, mogę nie jeść ciastek — beztrząsco powiedział doktor Aleksander.

— Żartujesz chyba — obruszyła się mama. Substancja paraliżująca wolę, która nie podlega filtracji, to może być śmierć głodowa! Właściwie już powinno się zatrzymać całą produkcję glonów dopóki nie będziemy mieli pewności, że możemy oddzielić jakoś truciznę od jedzenia.

Tatuś aż gwizdnął.

— Taka para kaloszy — powiedział. Uświadomił sobie w tej chwili, że około siedemdziesiąt procent pożywienia ludzkości to obecnie glony. Jeżeli rzeczywiście...

— Błyskawicznie zbudują dodatkowe filtry — pocieszył mamę — możesz być zupełnie spokojna.

— Na razie nie zbudowali i mają bardzo poważne problemy. Słuchaj, Olku, tylko to jest ścisła tajemnica — dodała mama. — Pamiętasz, ile niepotrzebnej paniki było wtedy, jak rozpuszczono plotkę, że celuloza przyspiesza starzenie?

— Cóż się dziwić, ludzie chcą żyć jak najdłużej. Muszę ci powiedzieć, że dużo bym dał za trzecią albo czwartą setkę życia.

— Szanse rosną z każdym dniem. Tysiące Instytutów zajmuje się tym problemem. A jak twój pacjent?

— Właśnie, właśnie. Słuchaj, to jest dopiero sensacja!

*

Inżynier kriogeniczny Andrzej Torlewski nigdy nie odważyłby się na coś podobnego, gdyby nie zachęta ze strony przyjaciół. Potrzebna była zgoda najwyższych czynników i właśnie przyjaciele załatwili tę zgodę. Cóż za okrutny i perfidny los zabierał Andrzejowi wszystko, co najdroższe!

Żona inżyniera zginęła w roku 1968 tragicznie i bezsensownie pod kołami wielkiej ciężarówki. Bezmyślny, pijany kierowca jednym nieuważnym gestem zniszczył szczęście pana Torlewskiego. Andrzej został sam z trzyletnim synem Markiem.

Jak ciężko było inżynierowi wychowywać żywiołowego, pełnego

coraz nowych pomy-słów chłopaka! Ileż się namęczył, aby Marek był zawsze przyzwoicie ubrany, nakarmiony, aby odrabiał lekcje tak, jak należy, aby się nie przegrzał, nie przeziębził. Całą miłość do żony przelał teraz na syna, na tego nieznośnego Marka o oczach i włosach matki. W dodatku ze zdrowiem chłopca nie było najlepiej.

Kiedy w roku 1974 Marek pierwszy raz poszedł do kliniki, a lekarze rozmawiając z inżynierem nie kryli niepokoju o przyszłość dziecka, Andrzej Torlewski stał się tak czujny i ostrożny, jak tylko potrafił.

— Mareczku — prosił — nie graj dziś znowu w piłkę nożną, twoje serce...

— Kiedy, tato, ja naprawdę świetnie się czuję, w ogóle nic mi nie jest. Nastraszyli cię. Doktor Zięba jest pierwszy do straszenia.

— Być może, ale oszczędzaj się, bardzo proszę

— Dobrze, tato kochany, tylko troszeczkę, tylko troszeczkę.

Marek nie był złym chłopcem. Pobyty w klinice nauczyły go szacunku dla ludzkiego cierpienia, widział, że jego tatuś cierpiał.

Był przekonany o tym, że tatuś cierpi niepotrzebnie, bo on, Marek, ma końskie zdrowie, zaburzenia w sercu nie są znowu takie strasznie groźne...

Marek chciał grać jak Szarmach. Na razie ze względów zdrowotnych grywał zwykle na bramce ale za to on był głównym organizatorem wielkiej, wspaniałej, zwycięskiej drużyny podwórkowej „Czarne błyskawice 76”, która w mistrzostwa roku 1978 omal nie pokonała samego „Huraganu”. A wiadomo, że w „Huraganie” grało pięciu, a może sześciu przerośniętych!

Inżynier Andrzej Torlewski emocjonował się razem z synem każdym jego sukcesem i każdą klęską. Dbał jak umiał o Marka, ale nie był w stanie dokonać cudu, nie mógł popchnąć badań medycznych o pięćdziesiąt lat.

Z rozpaczą słuchał, jak jego przyjaciel doktor Zięba mówił:

— Gdyby Chopin żył obecnie, wyleczylibyśmy go w rok! Tak samo Słowackiego! Obaj zdołaliby jeszcze stworzyć, ho! ho! Jeden z pół setki mazurków, polonezów i etiud, a drugi z dziesięć dramatów. Tak, tak, mój drogi, ścigamy się z czasem. Szkoda tych gości, naprawdę bardzo szkoda.

Inżynier wiedział, że medycyna prowadzi nieustanny wyścig, ale drżał o to, by w przy-padku Marka zdążyła na czas.

*

Doktor Aleksander Zborowski otworzył z niecierpliwością otrzymaną teczkę i wziął pierwszą leżącą na wierzchu kartkę. Przez chwilę oglądał ze zdziwieniem materiał, z którego była zrobiona — papier. Jeszcze w młodości widywał tu i ówdzie książki, trzymane dla deko-racji wewnątrz przez niektórych kolekcjonerów, ale cała jego nauka przebiegała już w oparciu o rzutniki laserowe.

Wkłada się w taki rzutnik cieniutką płytkę i wyświetla teksty na ścianie. Dzięki temu wynalazkowi każdy może mieć w domu bibliotekę, która dawniej zajęłaby trzy wielkie maga-zyny.

Doktor ze zdumieniem czytał:

Szanowny Nieznany Kolego!

Daruj, że zwracam się do Ciebie wprost, że nie piszę do Rady Naukowej lub do grupy badawczej, tylko właśnie do Ciebie. Ale z moich doświadczeń wiem, że zawsze jest ktoś je-den, jedyny w gruncie rzeczy odpowiedzialny za całokształt eksperymentu, ktoś kto ryzykuje i zdaje sobie najlepiej sprawę z rozmiarów ryzyka.

Odważyłem się na ten czyn z różnych pobudek. Nie mógłbym ustalić, ile jest w nich nadziei, ile egoizmu, ile zaufania do wiedzy i postępu w ogóle. Odważyłem się także, a może przede wszystkim dlatego, że nie było innego ratunku dla mojego dziecka. Spodziewałem się tego od dawna. Byłem uprzedzony i przygotowany, a jednak teraz, dwa tygodnie od chwili gdy Marek... Nie, nie chcę pisać tego słowa, które ciśnie się na papier, bo wierzę, że jest szansa, a skoro jest szansa na jego przebudzenie, to on tylko usnął. Prawda!? Jesteś tam daleko, ale jakże blisko, kolego i zrobisz wszystko co w Twojej mocy, jestem pewny, że zrobisz!

Gdybym mógł dokonać tego ja sam, gdybym mógł przebudzić Marka za dziesięć, piętnaście lat i powiedzieć: „Synku, twój ojciec nie pozwolił odejść ci na marne!” Ale zdaję sobie sprawę z tego, że nie będę tyle wiedział, że cały świat nie będzie tyle wiedział, że sam już nie doczekam tej chwili.

Wierzę jednak, że idziemy naprzód, że przyjdzie dzień, w którym Ty, Nieznany Kolego, spróbujesz i uda Ci się zakończyć mój

eksperyment

Proszę Cię, pamiętaj o tym, że ten czternastoletni chłopiec to jeszcze dziecko, że on nawet nie był poinformowany o moim projekcie, że nie będzie wcale przygotowany do sytuacji, którą napotka.

Z uwagi na los eksperymentu, z uwagi na los mego syna wkładam do tej teczki wszystkie dane, jakie tylko potrafiłem zebrać, wszystkie informacje o technice, jaką się posłużyli-śmy i o chorobie, która zmusiła nas do tego zabiegu.

Wkładam też kilka listów do mojego syna, które być może dodadzą mu otuchy, kiedy już zrozumie, jaką to niezwykłą podróż odbył.

Piszę to wszystko z taką pewnością, jaką daje tylko kurczowe trzymanie się nadziei. Wydaje mi się nawet, że wiem, co powie Marek, kiedy się obudzi. (Sięgnij wtedy po załącznik nr 8).

Drogi kolego, wybacz mi osobisty ton, ale jako inżynier kriogeniczny i jako ojciec Marka, mam chyba prawo pisać do Ciebie w ten sposób. Nikt chyba nigdy nikomu nie życzył goręcej powodzenia niż ja życzę Tobie.

Andrzej Torlewski

*

Lśniący, czarny samochód zatrzymał się przed barierą pomalowaną w czerwono-żółte paski, eskorta motocyklistów zakręciła i odjechała w kierunku miasta, a auto dyktatora ni-czym potężny żuk gnojnik wpełzło na teren ogrodzony zasiekami z drutu kolczastego, wstęgami okopów i betonowymi kopułami bunkrów.

Olbrzymi poligon obwarowano tak, by nikt niepowołany nie mógł przedrzeć się głębiej niż pięć do dziesięciu metrów nie skoszony ogniem karabinów maszynowych, nie rozerwany przez miny, nie pogryziony przez wściekłe owczarki alzackie.

Muanta Portale y Grazia uważał ów poligon za swój ulubiony teren spacerowy, czego nie można powiedzieć o obozie „Dulce Patria” strzeżonym wprawdzie podobnie, ale nie cieszącym się zbyt wielkim zainteresowaniem dyktatora.

Położony wśród gór poligon otoczony był z trzech stron wodami oceanu, a kształtem swym przypominał sztylet. Taką też nazwę nosił ów półwysep od wielu lat, nazywany „Półwyspem Sztylet”,

„Sztyletem Górskim”, a ostatnio po prostu „Sztyletem Muanty”.

Stacjonowały tam zaledwie trzy kompanie wojska, ale byli to najdzielniejsi ludzie Muanty, tak wstawieni zbrodniami przeciw ojczyźnie, że ich własna podłość była gwarancją ich wierności. Doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że rozwścieczony lud najchętniej wszystkich by ich potopił, powystrzelał, a w najlepszym wypadku posłał na długoterminowy urlop do kamieniołomów obozu „Dulce Patria”. Dlatego też czujnie i z pełną ofiarnością pilnowali, aby nic nie uległo zmianie w panujących stosunkach, i drżeli na samą myśl o śmierci swego przywódcy.

Generał Michelangelo Asteria birbant, hulaka i okrutnik, zawsze lekko pijany, zawsze obrzydliwie spocony i wycierający jedwabną chusteczką swój nalany kark, należał obok rektora Diaza i adiutanta Gonzalesa do najbardziej zaufanych ludzi dyktatora.

Między tymi trzema panami były jednak pewne różnice. Gonzales bał się Muanty i wiedział, że jego wąła kariera opiera się głównie na lizusostwie i posłuszeństwie, Diaz mógł służyć każdemu i z nonszalancją służył temu, kto mu najlepiej płacił, natomiast generał Michelangelo ubóstwiał, czcił, uwielbiał, podziwiał swego wodza.

Generał był głupi i zawsze uważał, że stanowczość i siła są najważniejsze. Wobec swo-ich podwładnych starał się być tak stanowczy i silny, jak tylko potrafił, natomiast bałwo-chwalczo wielbił szefa za to, że ów wydawał mu się niedoścignionym przykładem obu tych walorów osobistych.

Asteria stał więc dumny i wyprostowany jak struna przy dwudziestym szóstym bunkrze i oczekiwał, aż dostojny gość wygramoli się przy pomocy Gonzalesa z auta.

— Gonzales, ty kretynie, połamiesz mi nogi... Cześć, stary, cześć. Spocznij. Czy uwie-rzysz, Michelangelo, że ten głupek wyniszczy nam niedługo wszystkich pisarzy i poetów?

Generał zachichotał z zakłopotaniem, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— A tak, tak. Co i rusz każę mu coś napisać, wiesz, jakieś tam noty dyplomatyczne, przemówienie, no, takie tam bzdury. On oczywiście angażuje do tego fachowców, ale im nie umie dokładnie wytłumaczyć, o co chodzi, więc piszą do chrzanu, ja mu wymyślam, a on ich wysyła za to do ciupy. Ogromnie to upolitycznia artystów. Są znakomicie zorientowani we wszystkim, co zakazane. W

kamieniołomach pracują sekcje: prozatorska, poetycka i krytyki literackiej. A mówią, że nie dbam o kulturę... Wikt, pomieszczenia, spacer na świeżym powietrzu. Ostatnio wsadził naszego laureata i zrobił się straszny szum. Swoją drogą, co a laureat, skoro nawet przyzwoitego przemówienia nie potrafi wyskrobać. Oni tylko wszyscy umieją pisać podania o wyjazd zagraniczny. Musiałem mianować tego kretyna Gonzalesa pełnomocnikiem rządu do spraw kultury, bo protestowali, że wojsko wtrąca się bezprawnie. Powiadam ci, Michelangelo, same kłopoty... A co u ciebie? Jak robota!

— Rektor Diaz pracuje bardzo solidnie. Jeszcze ostatnie próby i będziemy gotowi.

— W porządku, przyjacielu, prowadź.

Zjechali pneumatyczną windą na dół, na ostatni, dwunasty poziom. Tak głęboko we wnętrze góry dotarł, kopiąc swe chodniki przy pomocy więźniów; i żołnierzy, generał Michelangelo Asteria. Dokopał się aż do podziemnego jeziora, po którego falach pływała obecnie niewielka bojowa łódź podwodna,

Rektor Diaz ze swym pomocnikiem porucznikiem Onettim oczekiwali w szalupie. Wódz wraz z towarzyszącymi mu osobami dotarł szalupą do łodzi. Śmiałym krokiem zszedł po wąskiej, metalowej drabince do wnętrza statku. Zanurzyli się. Porucznik Onetti sprawnie odnalazł podwodną drogę,

Po pół godzinie dyktator i jego nieliczna świta znaleźli się w drugiej skalnej grocie, tym razem pozbawionej już wszelkich wejść poza podwodnymi.

Na małej, wykutej osobiście przez Onettiego, Diaza, Asterię i Gonzalesa platformie kamiennej spoczywały sześćdziesiąt dwie wyrzutnie.

— Przypominają wyglądem maszynki do mielenia mięsa, a nie najgroźniejszą broń dwudziestego wieku — pogodnie zauważył Muanta. — No, chłopcy, jeżeli nasze obliczenia są słuszne, za parę dni zrobimy porządek na tej poczciwej planecie! Rektorze, czy jest pan pewny, że główce dotrą tam, gdzie zamierzamy?

— Nie ulega wątpliwości, ekscelencjo.

— I po krzyku. A tak nas straszili tą bronią nuklearną.

— Franciszku kochany, zapakuj jeszcze kółka do gry w ringo — poprosiła Ela — i moją kasetkę z farbami.

Franciszek odjechał posłusznie, a Ela zaczęła wyjaśniać bratu, w jaki sposób można oszukać Głowopukacza.

— Kiedyś pyta mnie Głowopukacz, Kto to był Asnyk. Ja wiedziałam, że to poeta, ale dalej ani w ząb. Myślę sobie tak — za każdą błędną informację będę miała minus, za każdą dobrą plus i mówię: Nie napisał „Balladyny”, bo to Słowacki, nie napisał „Dziadów”, bo to Mickiewicz, nie napisał „Zemsty”, bo to Fredro, i tak cały czas! I udało się! Trochę skrzypiał, ale postawił bardzo dobrą ocenę.

— Łżesz! — odpowiedział brat. — Głowopukacz ma sprzężenie zwrotne i doskonale wie, która odpowiedź jest na temat.

— Zapewniam cię, że tysiące razy osiągałam znakomite efekty! Znakomite!

— Tysiące! Przecież ty zajęcia z Głowopukaczem masz dwa razy w tygodniu! W sumie w ciągu roku możesz oszukać go około stu razy. Ale, oczywiście, nie udaje ci się to ani razu.

Głowopukacz była to wielka maszyna nauczająca polskiego i siejąca postrach wśród wszystkich miłośników nauk humanistycznych. Każdy, kto choć odrobinę interesował się historią literatury, wcześniej czy później natrafiał na ten zdumiewający aparat, który nie tylko wszystko wiedział, ale jeszcze umiał stawiać podchwytliwe i zdradliwe pytania.

— Nasza pani osiąga łączną punktację pięć do sześciu tysięcy, a podobno są tacy, co dociągają do dwudziestu tysięcy.

— Ale podobno są autorzy, którzy wcale nie mają najlepszych wyników.

— No pewnie, przecież talent nie polega wyłącznie na erudycji. Można wiedzieć bardzo dużo, a nie umieć niczego stworzyć.

— Proszę, proszę — powiedział ojciec wchodząc do domu. — Jakież miły rodzinny obrazek. Braciszek i siostra siedzą w fotelach i gawędzą. Nie biją się, nie obrzucają sprzętami, nie oskarżają o kłamstwa i w ogóle wygląda, jakby odczuwali do siebie trochę sympatii. Zdumiewające!!

— Dzień dobry, tatusiu! Jesteśmy gotowi do wyjazdu — zameldował Piotruś.

— Wiem, moi drodzy, że jesteście gotowi. Wiem o tym od trzech

dni.

— Właśnie! I ciągle odkładasz nasz wyjazd. Powiedz wreszcie, co się stało. Pierwszy raz zachowujecie się oboje z mamą tak tajemniczo. Czy to ma jakiś związek z naszym postępowaniem? Naprawdę staramy się, jak możemy — Piotruś westchnął ciężko.

— Przykro mi, że musiałem zmienić plany, pojedziecie za kilka dni. Wiąże się to z paroma sprawami, ale na razie wołałbym o niczym nie mówić. Bądźcie cierpliwi, a czeka was niespodzianka.

— Ubóstwiam niespodzianki — przyznała Ela.

Rozdział trzeci czyli Ciasteczka, maskarady i rewolucja

Mgła przed oczami zaczynała rzędnąć. Duże niebieskie i zielone plamy powoli nabierały odcieni złotawych, a potem pomarańczowych. Światło wdzierało się coraz intensywniej pod powieki, a ból głowy ustępował pragnieniu, by wstać i pójść, by zerwać się możliwie najszybciej z tego stołu, na którym przeleżał chyba ze dwie godziny!

— Mruga — usłyszał za sobą jakiś nieznany głos. — On mruga!

„Każdy by mrugał na moim miejscu — pomyślał. — To światło jest od początku prze-rażająco jasne”.

Powoli przypominał sobie fakty. Coś mu załopotało w sercu i doktor Zięba krzyczał, żeby natychmiast na salę operacyjną! Natychmiast! No i, oczywiście, on prosił jeszcze potem siostrę, żeby mu coś powiedziała, ale już nie było czasu i ta mgła przed oczami.

„Wstawili mi nowe zastawki — stwierdził. — Genialny chirurg, doktor Zięba, na pewno wszystko fachowo zreperował. Wielokrotnie przecież mówił o tej operacji. Ależ tu ludzi! Chyba na początku było

mniej. Gdzie może być ta siostra, siostra Irena? Chyba... Tak... Ona nie lubi, jak się do niej mówi »siostró«”.

— Pani Ireno — powiedział słabym głosem. — Pani Ireno...

Pani Irena pobladła.

— On... On prosi jakąś panią Irenę — wyszeptała. — Słyszeliście?

— No to niech pani odpowie — także zdumionym, choć poirytowanym głosem odparł Zborowski.

— Tak, słucham.

— Pani Ireno, jaki jest ten wynik?

— Spokojnie, Mareczku, spokojnie. Wynik operacji jest pozytywny. Leż spokojnie.

— Mnie nie chodzi o wynik operacji, tylko o ten, o który pytałem przedtem... przed godziną... ale, ale... To chyba nie panią pytałem. Przepraszam, Doktor Zięba będzie wiedział.

— A może ja mógłbym ci w czymś pomóc? — zapytał doktor Zborowski, nachylając się nad stołem.

— Chodzi mi o wynik meczu Legia Warszawa — Ruch Chorzów. Grali po południu.

Doktor Zborowski cofnął się i wyjął z teczki załącznik nr 8. Była to żółta gazeta z datą 9 września 1979 roku, na której ręka inżyniera zakresliła dużą widoczną rubrykę. Doktor chrząknął i przeczytał: „Dwa zero dla Ruchu Chorzów”.

— Wiedziałem! — mruknął Marek. — Patałachy!

A potem usnął.

*

Wielka Rada Narodów zebrała się w piątek wieczorem 8 czerwca 2059 roku, aby rozpa-trzyć sprawozdanie, jakie przedstawił delegat polski. Może się to wydać komuś zabawne, ale całe zgromadzenie interesowało się przede wszystkim samopoczuciem ciotki Flory.

— A więc, zdaniem pańskim, substancja, jaka dostała się do tego produktu spożywcze-go, wywołuje nieodwracalne zmiany w organizmie? — zapytał przewodniczący sesji, Wie-tnamczyk Bingh.

— Tak jest, panie przewodniczący!

— I jednocześnie nie podlega filtracji?

— Na razie nie, panie przewodniczący.

— Cóż więc w takim razie pan proponuje?

— Wnioski pozostawiam szanownemu zgromadzeniu.

O głos poprosił profesor psychologii Gunter Mailer.

— Poddaliśmy pacjentkę dokładnym badaniom. Istnieje pewna szansa przywrócenia jej zdrowia drogą regeneracji społecznie naturalnej. Nazwałbym to pomocą z zewnątrz, rekonstrukcją. Ale to trudna sprawa.

— Proszę sprecyzować, co pan profesor ma na myśli?

— Działanie tej substancji na osobowość przypomina działanie ostrza odcinającego dwa układy — sterowany i sterujący. Człowiek nie posiada już własnego sterowania, własnej woli, natomiast może być sterowany z zewnątrz. Każdy rozkaz pochodzący z zewnątrz wydaje mu się słuszny, ważny i obowiązujący. Może zresztą zademonstrujemy na przykładzie.

Wniesiono mały nadajnik holowizyjny i pomiędzy prezydium a salą obrad ukazała się ciotka Flora. Ktoś niewidoczny wydawał jej rozkazy.

— Jest pani zimno — powiedział głos.

Ciotka zaczęła szczekać zębami i zacierać siniejące ręce.

— A teraz ciepło.

Ciotka spociła się jak mysz.

— Kocha pani muzykę poważną! Szuberta i Strawińskiego!

— Niech żyje Szubert! Niech żyje Strawiński! Niech żyje Szubert! Niech żyje Strawiński! — skandowała ciotka z wyrazem uwielbienia i dzikiej spontanicznej radości.

— Nienawidzi pani tej muzyki. Nienawidzi! — zadysponował głos.

— Precz z Szubertem! Precz ze Strawińskim! Precz! Precz! Precz! — krzyczała ciotka z pasją.

Itak reagowała za każdym razem. Robiła, co jej polecono, kochała i nienawidziła, cze-go żądano, zgadzała się z każdym zdaniem, każdą opinią.

— Istnieje szansa, że po odtworzeniu wszystkich poglądów pacjentki — kontynuował profesor Mailer — można by je utrwalić w niej na stałe rozkazem i w ten sposób przywrócić choć część dawnej osobowości. Zmusić ranę, aby zarosła w tym samym miejscu.

— Przerażające zjawisko — stwierdził przewodniczący, a był w tym wypadku wyrazi-cielem opinii wszystkich delegatów. — Jakie

rozmiary ma to niebezpieczeństwo? — zwrócił się do obecnych na sali statystyków.

Francuz, Rosjanin, Szwed — wszyscy trzej zgodzili się co do tego, że jeżeli zatrzymają produkcję glonów, znacznie głodować połowa ludzkości, jeśli nie — przypadki takie, jak ten, nie mogą zostać wykluczone nawet przy bardzo ścisłej kontroli. Mogą się zdarzać. Ile? Od jednego do kilku tysięcy rocznie. Trudno powiedzieć. Może istnieje jakiś sposób na wykrycie tej substancji. To byłoby najlepsze.

Rada Narodów musiała podjąć niebagatelną decyzję. Oczywiście zarządzono poszukiwania, ale było to naprawdę szukanie kropeł wody w oceanie. A filtry? Urządzenia sygnalizujące kosztowałyby miliardy. Wykrycie tych minimalnych dawek w tysiącach ton glonów przekraczało możliwości nawet najbardziej czułych aparatów. Na razie więc wahano się i nie podejmowano żadnych kroków. Niestety wieść o wydarzeniu rozniosła się z szybkością światła, a spożycie ciasteczek spadło zastraszająco. Było to, oczywiście, całkowicie absurdalne. Równie dobrze trucizna mogła znaleźć się w każdej innej potrawie przyrządzonej z glonów, fakt jednak pozostaje faktem: ciasteczka zalegały magazyny i nikt, nawet największy smakosz, nie miał jakoś odwagi po nie sięgać, mimo apetycznego wyglądu.

*

Asystent Karol Pacuła dyżurował przy łóżku Marka i czekał, aż ten się obudzi. O przebudzeniu miał natychmiast zawiadomić szefa i panią Irenę. Asystent Pacuła czuł się nieszczerze. Ubrany był w jakiś przedpotopowy strój — lnianą koszulę, niebieską kamizelkę i także dżinsy.

— Zakładaj, zakładaj szybciej — popędzała pani Irena. — Marek, jak się obudzi, nie może zobaczyć niczego niezrozumiałego. To mogłoby spowodować szok!

— Jak oni mogli w czymś takim chodzić — dziwił się Pacuła. — Przecież to okropne!

— No, chodzili. W średniowieczu chodzili w metalowych kolczugach...

Pan Karol nie był pewny, czy nie wolałby kolczugi od tego materiału, który z każdą chwilą wydawał się bardziej szorstki,

niecelegancki i dokuczliwy.

— Biedni ludzie — stęknął. — Ile dni nosili bez zmiany coś takiego?

— Nie wiem, może tydzień, może dwa? Koszule to pewnie zmieniali częściej?

— Stanowczo wolę ubrania jednodziennego użytku.

— Ładnie byś wystraszył dzieciaka! On w ogóle nie zna takich ubrań! Wzięłyby cię za zjawę, jeszcze w tych twoich pomarańczowych wdziankach w żółte i fioletowe kropki! Przecież takie ubrania nosi się dopiero od trzydziestu lat.

— No tak, maskarada jest oczywiście potrzebna. Ale czy nie mogłaś wybrać czegoś wygodniejszego, ładniejszego?

— W magazynie kostiumów dostałam akurat to. Maszyna wydająca powiedziała, że taki ubiór jest najprawdopodobniejszy. Już i tak dość kłopotów mam z urządzeniem pokoju, nie nudź!

Asystent Pacuła czuł się koszmarnie. Lubił się elegancko ubrać, a niebieskie łachy wy-dawały mu się wyjątkowo nietwarzowe, wyraźnie go postarzały. Jak oni mogli coś takiego... A buty, och, buty miały trzycentymetrowy obcas i skórzany, bogato zdobiony wierzch — istne podkówki!

Siedział więc umęczony Karol Pacuła i czujnie wpatrywał się w twarz śpiącego chłopcę. Chłopiec zresztą wyglądał zwyczajnie. Najzwyczajniej w świecie w porównaniu ze swoim otoczeniem.

Wielkie, metalowe łóżko, nocny stolik z drewnianym blatem, na nim archaiczny termo-metr, lampka z żarówką! Ba! Nawet z sufitu zwisała żarówka, Obie w wielkim trudzie wypo-życzone z muzeum.

Marek odwrócił się na drugi bok i mruknął coś przez sen, rzucił się nerwowo, otworzył oczy i szeroko, szeroko ziewnął.

Pan Karol dyskretnie nacisnął aparat łączności i szepnął:

— Obudził się!

— Przepraszam za ziewanie — powiedział Marek. — Ale spałem chyba sto lat!

— No, niezupełnie — odparł dość nieszczerze pan Karol. — Ale coś koło tego...

— Jaki dziś dzień mamy?

— Poniedziałek.

— No, to nie tak długo. Dwa dni. Przepraszam, czy pan jest tu lekarzem?

— Niezupełnie.

W drzwiach stanęli doktor Zborowski i docent Irena.

— Wspaniale, Marku, znakomicie wyglądasz!

— Ja pana doktora to chyba znam.

— Widzieliśmy się podczas operacji. Pytałeś mnie o mecz.

— Ach tak, przypominam sobie. Przyzna pan, doktorze, że strasznie się skompromitowali.

— Tak... chyba tak. Wiesz, szczerze mówiąc, to nie wydaje mi się ta kompromitacja czymś bardzo ważnym.

— Ależ to całkowita klęska, całkowita! Koniec świata! Spadają na sam dół tabeli. Doktor Zięba zgadza się ze mną w zupełności.

— A jak się czujesz?

— Doskonale. Czy ja już mogę jeść? Obudziłem się bardzo głodny.

— Tak, tak. Zaraz dostaniesz jedzenie.

— Czy mój tatuś wie, że wszystko w porządku?

— Tak, tak.

— Panie doktorze, proszę mi powiedzieć prawdę, bardzo się martwił?

— Bardzo. Był strasznie zmartwiony, strasznie!

— No i zupełnie niepotrzebnie. Teraz już wszystko będzie dobrze, prawda?

— Tak, tak. Teraz czeka cię dużo lat życia. Ale musisz jeszcze poleżeć, pospać, wypo-cząć.

— A czy mogę dostać coś do czytania? Jakies gazety, książki...

— Oczywiście, oczywiście.

— A tatuś kiedy będzie mnie mógł odwiedzić?

— Na razie nikt nie może cię odwiedzać, pełna izolacja.

*

Struna w gitarze zerwała się tak złośliwie, że poraniła mu palce u rąk. Pomimo tego grał dziś znowu jak wczoraj, jak przedwczoraj, jak zawsze od chwili, kiedy zebrali się wraz z towarzyszami i poszli w góry.

Gdy tylko oddziały Muanty gubiły trop, można było rozpalić ognisko i posłuchać, jak Raul śpiewa.

A Raul Zermeno śpiewał tak, że wszystkim wracała wiara i

nadzieja. Brodaty, zawsze uśmiechnięty był legendą całego narodu. Trzykrotnie skazywany przez sądy dyktatora uciekał i zbierał ludzi wokół siebie, trzykrotnie podczas procesów odpowiadał sędziom własnymi pieśniami.

Procesy toczyły się przy drzwiach zamkniętych, sędziowie należeli do najtchórzli-wszych, a strażnicy do najokrutniejszych, ale i tak następnego dnia wszyscy powtarzali sobie te utwory. Raul nie układał skomplikowanych melodii, słowa wydawały się proste, a jednak tylko on potrafił wykonać swoje pieśni naprawdę dobrze. Może dlatego, że tak mocno, tak bardzo mocno był przekonany o słuszności, o potrzebie walki.

*Kiedy boicie się własnych słów,
Kiedy drżycie przed własnymi myślami,
Kiedy milkniecie, bo tyran może usłyszeć,
Pamiętajcie — on już zamieszkał w was
I może pożreć waszą duszę.
Pamiętajcie — sami go tam wpuściliście
Razem ze strachem.*

Muanta nienawidził Raula tak mocno, że nie potrafił go skazać na śmierć. Dopóki pozwalał mu żyć. mógł sobie wmawiać, że tylko nim pogardza, pogardza tak bardzo, że nawet lituje się nad nim, jak nad czymś małym i nieważnym. Gdyby go zabił, nigdy by się już od niego nie uwolnił. Wiedział o tym, więc tylko robił, co mógł, żeby złamać i poniżyć wro-ga.

Jakie są sny tyranów?

Muancie w chwilach najlepszego samopoczucia śnił się Raul nie pokonany, nie zabity lub uwięziony, ale Raul dobrowolnie piszący panegiryki na cześć władcy, z przymilnym uśmiechem czyszczący buty dyktatora, a przede wszystkim przestraszony i upodlony. Muanta wierzył święcie, że w gruncie rzeczy każdy człowiek jest zły — na tym opierała się cała jego władza, cała jego filozofia. Dlatego nie rozumiał Raula i bawił się nim jak kot myszką. Tak mu się przynajmniej wydawało. Bo im dłużej to trwało, tym silniejsze stawały się oddziały partyzantów i groźniejszy ruch wyzwolenia.

Każda piękna ballada, każdy mit są przepojone pragnieniem wolności, a gdy ludzie raz dostrzegą piękno wolności i wolność piękna, trudno jest ich powstrzymać przed działaniem, trzeba ustalić cenę zbyt wysoką, karę zbyt okrutną.

Partyzanci otuleni kocami słuchali głosu Raula i dźwięku jego gitary, zbierali siły do ju-trzejszego dnia. Jutro zamierzali rozpocząć marsz na stolicę. Nigdy jeszcze nie byli tak liczni i tak doświadczeni, nigdy społeczeństwo nie oczekiwało ich z taką tęsknotą. Ale armia Muan-ty była dwudziestokrotnie liczniejsza, uzbrojona w czołgi, helikoptery, samoloty.

Wiedział o tym Raul i może właśnie dlatego zanucił coś innego niż zwykle — starą dźwięczącą radością melodię:

Idę już do ciebie, moja ukochana,

W mokrym kapeluszu idę już!

Przyjmij mnie dobrze, moja ukochana,

W mokrym kapeluszu przyjmij mnie!

— W mokrym kapeluszu przyjmij mnie! — wrzasnęło kilkaset rozradowanych nagle gardeł i było to tak skoczne i wesołe, że zdumiałby się krwawy Muanta, gdyby usłyszał, jak bardzo można się cieszyć, chociaż nie jest się dyktatorem.

*

Muanta Portale y Grazia zaniemógł zupełnie niespodziewanie po powrocie z podwodnej wyprawy. Zemdlał idąc po czerwonym chodniku rozłożonym na marmurowych schodach i gdyby nie czujne ramię Gonzalesa, stoczyłby się z wysokości dwóch pięter.

Gonzales ułożył go w starym hebanowym łożu i zawezwał konsylium. Konsylium było zgodne co do tego, że jeśli nawet dyktator odzyska przytomność, to po to, aby ją stracić bez-powrotnie i ostatecznie.

Całkiem niespodziewanie, gdy przewodniczący konsylium ściszym szeptem informo-wał adiutanta o beznadziejności sytuacji, Muanta otworzył oczy.

— Ładny numer — jęknął. — Jednym słowem, ogłaszacie na mnie wyrok?

Przewodniczącemu monokl wypadł z brzękiem na posadzkę.

— Ekscelencjo! — wymamrotał. — Mówiłem tylko...

— Słyszałem dokładnie, co mówiłeś. Od lat słyszę wszystko, co się mówi w tym kraju, a tym bardziej w mojej własnej sypialni. Nie ma ratunku, co?

— Nigdy nie należy tracić nadziei, ekscelencjo!

— Tatarata! Akurat coś odwrotnego stwierdziliście przed chwilą. Może jestem na pół nieboszczykiem, ale nie idiotą. Wezwijcie Asterię i... przygotuj pan to urządzenie. No, wie pan... To, o którym mówiliśmy. Ile mam czasu? Bez gładzenia... Godzinę? Pół godziny?

Przewodniczący bezradnie rozłożył ręce.

— Wy wiedzielibyście coś kiedy. Bierz się pan do roboty! Tylko szybko!

Michelangelo Asteria przybył błyskawicznie. Ze łzami w oczach stanął przy łożu wo-dza.

— Cześć, stary! Przy świadkach przekazuję wszystkie godności państwowe w twoje ręce. Nie mamy za dużo czasu. Przyrzeknij mi, że jak tylko zacznę korkować, dopilnujesz, żeby wpakowali mnie do tej lodówki. Co się tak gapisz? Wpadłem na taki pomysł już dawno. Zostawcie nas samych! Gonzales, ty możesz zostać.

Cała świta na palcach opuściła sypialnię.

— Ta broń, Michelangelo, ta broń jest najważniejsza. Uważajcie, żeby nie użyć jej za wcześnie, zaskoczenie musi być pełne... Przeklęta śmierć! Że też nie mogła poczekać! Staraj-cie się rozegrać wszystko sensownie... Ta lodówka to jest pomysł. To może nie być koniec! Może wrócę i was sprawdzę? Pamiętajcie... ja was sprawdzę... spra...

Umilkł i wyprostował się w nagłym paroksyzmie bólu.

— Doktorze, szybciej! — krzyknął Asteria.

Doktor wbiegł i chwycił konającego za rękę.

— Jeżeli już, to teraz! — powiedział.

Asteria stał przez chwilę, czując na sobie spojrzenia wszystkich obecnych. A potem schylił tłusty kark na znak przyzwolenia.

*

— Panie Karolu, dlaczego w pokoju nie ma okien?

— Ze względów higienicznych. Mamy za to doskonałą klimatyzację. Czy mogę ci prze-czytać fragment książki?

— Może ja sam?

— Lepiej, żebym ja czytał, bo chcę ci to i owo skomentować.

— Bardzo proszę.

— W roku 2059 prawdopodobnie ludzkość będzie mieszkała w wielopiętrowych domach — miastach, po których krążyć będą błyskawiczne windy. Będą także lekkie, latające awiokoptery, które

ułatwią przenoszenie się z miejsca na miejsce.

— Fajnie będzie. Tylko wcale nie wiadomo, czy to prawda. Czytałem w „Horyzontach Techniki”, że pewien Francuz przewidywał dwieście lat temu, że w roku 1960 w całym Paryżu namnoży się tyle powozów konnych, aż zabraknie owsa w całej Francji. Udowodnił to bardzo dokładnymi obliczeniami.

— Ale holowizja na pewno będzie.

— Holowizja to chyba tak.

— A chciałbyś przenieść się w tamte czasy?

— Na zawsze to chyba nie. Ale na trochę tak.

— A jeśli nie miałbyś wyboru? Musiałbyś zostać?

Marek podrapał się w głowę.

— Panie Karolu, niech się pan przyzna. Boicie się, że trzeba będzie zrobić jeszcze jedną operację?

— Ależ nie! Skąd ci to przyszło do głowy?

— Nie? Siedzi pan przy mnie cały czas i stara się odwrócić uwagę od terażniejszości. W ogóle pan mi nie wspomina o tym, co się dzieje na świecie. Tylko przyszłość, przyszłość... Nawet radia nie ma w tym pokoju.

— Widzisz, jest taka sprawa... W związku z tą operacją twoje życie trochę się zmieni.

— Czy ja nie będę mógł chodzić?

— Nie, nie! Będiesz mógł chodzić, biegać znacznie lepiej niż przed operacją. Gwarantuję ci znakomite zdrowie.

— No to co się zmieni?

— Twoje życie będzie inne. Całkiem inne niż dotychczas.

Marek spoważniał.

— Czy... Czy coś się stało tatusiowi?

— Trudno mi to wyjaśnić. To bardzo... skomplikowana historia.

Chłopiec złapał asystenta za rękę.

— Żyje?! Niech mi pan odpowie! Żyje?!

— Uspokój się! To trudniejsze, niż myślisz. To bardzo ciężko wytłumaczyć. To...

Marek wtulił głowę w poduszkę i rozplakał się. Twarz asystenta Pacuły była zbyt szczerą, żeby kłamać. Zrozumiał, że stracił ojca.

Mareczku!

Synku kochany! Jeśli przeczytasz ten list, będzie to oznaczało, że udało się!!! Tak synku! Udało się nam obu. Odnieśliśmy wielki, wspaniały sukces. Tylko teraz musisz być dzie-lny! Musisz postawić się w mojej sytuacji i zrozumieć — nie miałem innego wyjścia. Nauka była bezsilna, a chodziło o ciebie. Jeśli teraz czytasz ten list, to minęło może pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat od momentu, gdy rozstałem się z tobą. Świat jest inny i mnie już na nim nie ma. I pewnie nie ma nikogo z twoich znajomych i przyjaciół.

Dla ciebie czas się zatrzymał, abyś mógł zacząć teraz wszystko od nowa. Jestem pewien, że ludzie, którzy przywołali cię do życia, zaopiekują się tobą, doradzą i pomogą.

Ale pamiętaj! Powinieneś przyjąć ich takimi, jakimi są. Jeżeli nie chcesz przynieść wstydu nam, ludziom dwudziestego wieku nie dziw się ich obyczajom, ucz się od nich jak naj-więcej, bo pewnie są mądrzejsi i rozsądniejsi od nas.

Synku! Bądź dzielny! Nie wolno ci się rozplakać, poddać rozpacz. Oto oczekuje cię niezwykła, fascynująca przygoda. Musisz poznać i zrozumieć tę nową, zaskakującą rzeczywi-stość. Musisz ją ośwoić. Czy pamiętasz? „Poznaje się to, co się ośwoi”.

Ja myślę, że oni bardzo szybko przestaną być obcy. Choćby ten ktoś, kto ci dał mój list. Przecież to na pewno przyjaciel. Mój kolega po fachu. Życzliwy, odważny. Ileż się napraco-wał, żeby przywrócić ci życie! A ty mu pewnie nie podziękowałeś. Zacznij może od tego. A potem wszystko jakoś się ułoży! Zobaczysz! Pamiętasz, miesiąc temu, kiedy omawialiśmy wasz mecz z „Borutą”, wróciliśmy do tematu nurtującego nas od dawna. Jakie są granice ludzkich możliwości? Będziesz miał okazję, Marku, dowiedzieć się teraz, czy rzeczywiście „setkę” biega się poniżej dziewięciu sekund, a w dal skacze jedenaście metrów. No i wszystkie wyniki ekstraklasy będziesz znał na przestrzeni kilku dziesiątków lat!

Rzuć się w tę przygodę tak, jak wtedy, kiedy jechałeś na obóz wędrowny. Na początku chciałeś, żebym cię stamtąd zabrał, za to potem nie miałeś ochoty wracać. Trzymaj się na początku — potem będzie ci coraz lżej.

Mam nadzieję, że dostaniesz jeszcze następne moje listy, napiszę i zapakuję tyle, ile zdołam.

— Chodźcie prędko, chodźcie! — zawołała Ela. — Tatę pokazują w holowizji!

Mama i Piotruś skoczyli do pokoju. Tata siedział w fotelu, a obok niego znany prezenter Marcin Ryps.

— Panie doktorze — zwrócił się właśnie z pytaniem do taty — czym można wyjaśnić sukces waszego zespołu?

Tatusь wyjaśnił, że oczywiście nieustannymi poszukiwaniami twórczymi wszystkich współpracowników, i przedstawił kilka osób siedzących wokół.

Pokój jakby poszerzył się i przybyli, a właściwie stali się widoczni docent Irena, asy-stent Pacuła, dwaj specjaliści od chirurgii serca i jeszcze pięć czy sześć osób, które uczestni-czyły w eksperymencie.

— Jak dawno zajmujecie się państwo tym problemem? — zapytał prezenter.

Docent Irena zaczerpnęła tchu i zaczęła mówić, że już od paru lat.

— Bardzo ładnie ojciec wygląda — powiedziała mama. — Zupełnie jak nieprawdziwy. Może lepiej, żeby włożył jakieś niebieskie wdzianko, a nie to?

— Ależ co ty, mamu, mówisz? — oburzyła się Ela. — Niebieskie źle wychodzi w świe-tle. Rzuca cienie na twarz.

— Cicho, dziewczyny — poprosił Piotruś. — Potem sobie porozmawiacie.

— Przecież my nic nie mówimy. Pani Irena też bardzo wytworna. Tylko niepotrzebnie włosy zaczesła do góry. Z grzywką jej było lepiej.

— Co ty opowiadasz, mamu? Z grzywką wyglądała znacznie mniej poważnie.

— I bardzo dobrze, moja droga, i bardzo dobrze! Kobieta w jej wieku...

— Mamu — poprosił Piotruś. — Nie słyszę, co mówią.

Mama machnęła ręką i umilkła. Elka rzuciła bratu miażdżące spojrzenie, ale zaniechała komentarzy.

Właśnie Karol Pacuła opowiadał o pierwszych chwilach Marka

po przebudzeniu:

— Muszę powiedzieć, że staraliśmy się złagodzić spodziewany szok. Urządziliśmy całą maskaradę. Ale to wyjątkowo bystry i inteligentny chłopiec. Szybko zorientował się, że coś nie tak. Od wczoraj wie o wszystkim.

Prezenter poinformował odbiorców, że za chwilę zobaczą Marka Torlewskiego. I rzeczywiście, tamte osoby zniknęły, a ukazał się Marek siedzący przy stole i jedzący coś. W obraz wsunął się ubrany w nieco inne wdzianko Marcin Ryps.

— Smakuje ci, Marku? — spytał.

— Tak, proszę pana — odpowiedział Marek.

— A jak się czujesz?

— Dziękuję, bardzo dobrze.

— Czy zechciałbyś mi udzielić wywiadu dla holowizji?

— Może lepiej potem, proszę pana, na razie ja jeszcze nie bardzo wiem, co powiedzieć.

— Zgoda. Ale umawiamy się, że niedługo spotkamy się i porozmawiamy, dobrze?

— Tak, proszę pana.

Marek zniknął i znowu pojawiły się osoby uczestniczące w eksperymencie. Prezenter Ryps siedział w fotelu i wyglądał na bardzo uradowanego swoją rozmową z pacjentem.

— Wspaniały chłopak! — oświadczył. — Wspaniały!

Wszyscy zebrani przytaknęli radośnie.

— Wspaniały — zgodziła się Ela z mamą.

— Co takiego wspaniałego? — zdumiał się Piotruś. — Zwyczajny chłopiec, tyle że odmrożony. Nawet nie wiedział, co się z nim dzieje.

— Obawiam się, że mój syn wyrasta na cynika — powiedziała mama. — Ciekawa jestem, czy ty byłbyś taki dzielny, jakbyś ocknął się za sto albo dwieście lat bez tatusia i mamusi.

— Jak wyglądają dalsze plany zespołu? — spytał prezenter.

Doktor Zborowski wyjaśnił, że zamierzają w szybkim czasie odmrozić pozostałe poje-mniki.

— A więc życzymy powodzenia i mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze nieraz w cyklu „Kolejny krok” — zakończył Marcin Ryps.

Mignęło, ukazały się oszronione szczyty gór, a na ich tle złocisto-srebrne litery „Gloria Lamb i Daniel Stone w kolejnym odcinku

serialu »Miłość nadchodzi o świcie«.”

— Dzieci, spać — powiedziała mama.

*

Natarcie udawało się nadspodziewanie dobrze. Pierwszego dnia Armia Wyzwolenia dotarła prawie pod samą stolicę, nigdzie nie napotykając większego oporu. Garnizony poddały się jeden po drugim, a oficerowie bądź przechodzili na stronę powstańców, bądź uwięzieni przez własnych żołnierzy musieli wędrować do tymczasowego aresztu.

Teraz dopiero okazało się, jak słusznie robił Raul układając swoje pieśni.

Żołnierze, przeważnie wieśniacy, byli analfabetami i nie przeczytaliby żadnej ulotki, żadnego druku nawołującego do powstania. Umieeli za to piosenki powtarzane dotąd szeptem — mogli je teraz śpiewać pełnym głosem.

I ulica zaczęła śpiewać razem z partyzantami, żołnierze zaczęli śpiewać razem z ulicą; ludzie nieśli gałązki wrzosu, którymi rebelianci maskowali ubrania i ten „dzień wrzosów” był największym dniem od wielu dziesiątków lat w historii udęczonego narodu.

Pod wieczór przysłała wiadomość, że Muanta nie żyje. Początkowo wątpiono w to, ale plotka okazała się prawdziwa. Generał Michelangelo wygłosił patetyczny apel do wiernej i lojalnej armii, lecz armia gwizdała na generała; gwizdała do taktu powstańczego marszu.

Nazajutrz prawie bez strzału poddała się stolica, a Gonzales, Asteria i reszta najzago-rzalszych zwolenników Muanty schroniła się na półwyspie „Sztylet”.

W pośpiechu nie zabrano nawet ciężkiego, metalowego pojemnika z zamrożonym cia-łem dyktatora. Michelangelo kazał je wprawdzie załadować, ale samochód utknął na drodze rozkopanej przez sprzyjających powstańcom robotników.

— Nic nie jest takie, jak sobie wyobrażamy, chico — powiedział Raul do swego przyja-ciele Pabla, kiedy stali przed otwartą klapą samochodu, na którym spoczywał pojemnik. — Wiele razy starałem się zobaczyć ten dzień, ale nigdy nie widziałem wrzosów. Widziałem dym, błyski strzałów i Muantę, takiego, jak na defiladzie, z orderami,

w mundurze, pędzącego wojskowym wozem przeciwko nam. Chciałem go spotkać i bałem się tego spotkania. On był bardzo złym człowiekiem. Bałem się, że nic nie zrozumie. A teraz widzę wielki metalowy pojemnik i nawet nie jestem pewien, czy tam w środku na pewno spoczywa Muanta.

— Chcesz sprawdzić?

— Nie, to przecież nieważne. Zostawmy go w spokoju. Są pilniejsze sprawy.

Generał Michelangelo Asteria wcale nie uważał walki za przegraną. Na dnie podmorskiej groty spoczywały groźne wyrzutnie, które mogły mu zapewnić władzę nie tylko nad tym małym kraikiem, ale nad całym światem.

Zastanawiali się właśnie wraz z Gonzalesem, Diazem i Onettim nad możliwością użycia tej broni, kiedy przybył poseł powstańców.

— Proszę powiedzieć swojemu wodzowi... — zaczął buńczucznie Asteria.

— Raul Zermeno nie jest wodzem — sprostował Pablo. — Jest tylko przywódca.

Michelangelo parsknął ironicznie.

— Znaczna różnica!

— Nieznaczną, ale dla nas decydującą.

— Proszę mu powiedzieć, że wystarczy mi tupnąć, a zniszczę was wszystkich. Ponieważ jednak pragnę szczęścia narodu, daję wam szansę. Jeśli się poddacie, obiecuję wam amnestię i niezwykle rozkwit kraju. Niezwykły! Ale wystarczy mi tupnąć.

— Panie generale, kiedy lud tupnie nogą...

— Proszę mi tu nie mówić aforyzmów — warknął Asteria.

Nagle ściany bunkra zatrzęsły się jak od wybuchu, a wisząca u sufitu lampa zaczęła się gwałtownie kołysać.

— Na dół! — ryknął Asteria. — To zamach!

I wyciągnął rewolwer, by strzelić w Pabla. Huknął strzał, lecz właśnie w tym momencie podłoga zachwiała się i pochyliła o trzydzieści stopni. Wszyscy poturlali się w jedną stronę.

— Zdrada! — darł się Asteria. — Do mnie, chłopcy!

I skoczył wraz ze współnikami do windy zjeżdżającej na niższe poziomy. Trudno było o mniej trafną decyzję. Nie był to bowiem wybuch bomby podłożonej przez Pabla, tylko nie-wielkie trzęsienie ziemi. Zniszczyło ono w pocie czoła wznoszone bunkry i zasieki,

zasypało korytarze drążone rękami nieszczęsnych więźniów, rozbiło pola minowe i pogrzebało pod zwałami skał trzech posiadaczy najniebezpieczniejszej broni świata.

Rozdział czwarty
czyli
Z celem łatwiej dojść do środków

Piotruś zobaczył, że w pokoju holowizji coś się porusza. „Widocznie Ela włączyła” — pomyślał i zajrzał do środka.

— Elka! Chodź szybko! — wrzasnął. — Pokazują tę mrożonkę! Ela stanęła w drzwiach.

— Kogo? — spytała zdziwiona. — Och, Marka Torlewskiego! Nie, to jest powtórzenie wczorajszego programu, siedzi i je.

— Skąd! Wczoraj był z Rypsem, a dziś je sam. O, patrz — spojrzał! Teraz wstaje. Chyba mu dźwięk wysiadł. Składa talerze. Ale tępa mrożonka. Nie wie, że talerze się wyrzuca do zbiorników czy co?

— Gdzie się wyrzuca? — spytał Marek.

— Patrz, Elka, jakby usłyszał — ucieszył się Piotruś. — Ciekawe, czy ta mrożonka coś chwytą.

— Więc gdzie mam wyrzucić te talerze?

— Mogliby mu powiedzieć — zauważyła Ela. — Nie są zbyt uprzejmi.

— Eksperymentują na nim — wyjaśnił Piotruś. — Pacuła sprawdza pewnie współczynnik inteligencji.

— Na razie jestem uprzejmy — powiedział Marek — Ale wolałbym, żeby odpowiadało na moje pytania.

— Widzisz go, jak się rzuca — skomentował Piotruś. — Będzie go trudno dostosować.

— A mnie się wydaje, że łatwo — zaprzeczyła Elka. — Na razie jest trochę rozdrażniony. Potem mu przejdzie.

— Więc pytam po raz ostatni, gdzie wyrzucić talerz? — powiedział Marek przez zaciśnięte zęby, patrząc ponuro w ziemię.

— Patrz, jaki nadęty! — parsknął Piotruś. — Wspaniały chłopiec, nie ma co! Tak się zachwycaliście, że niby dzielny i bohaterski, bez tatusia i mamusi, a ten dzidzius wścieka się na głupi talerz. Ja bym go...

Nie skończył. Marek skoczył na niego jak wściekły, jedną ręką złapał za szyję, drugą za nogę, przewrócił na ziemię, usiadł okrakiem i powiedział:

— Słuchaj, smarkaczu, mnie możesz urządzać testy na inteligencję, ale rodziców się nie czepiaj!

Piotruś był zbyt zdumiony, żeby wykrztusić z siebie choć słowo.

— Och! — krzyknęła Ela z przerażeniem. — To ty jesteś prawdziwy?!

Marek spojrział na nią wzrokiem pełnym goryczy i pogardy.

— A ty? — zapytał.

Ela, cała w pasach, nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Bo widzisz, zaszła pomyłka. Wszystko się zaraz wyjaśni. Zaraz... Spróbujemy ci wy-tłumaczyć... Tatusiu! — zawołała do doktora Aleksandra, który właśnie wszedł. — Myśmy go przez pomyłkę wzięli za holowizję!!!

— Widzę, moi drodzy, że już się poznaliście — powiedział Zborowski. — Nie jestem tylko pewny, czy przebiega to tak, jak zaplanowałem.

— Zupełnie nie zauważyłam, tatusiu, że przyszedłeś, i w dodatku nie sam. Piotrek gadał straszne głupstwa.

Marek puścił już Piotrusia i stał zmieszany.

— Musisz im wybaczyć, Marku — wyjaśnił doktor Aleksander. — Wzięli cię za fantom, za wytwór projekcji trójwymiarowej. Pech chciał, że postanowiłem cię nakarmić w pokoju holowizji.

— To ja przepraszam, panie doktorze. Nie wiedziałem... U nas w domu przy telewizo-rze ja i tatuś też sobie rozmawiamy... Rozmawialiśmy. Wydawało mi się, że oni są złośliwi. Przepraszam za nieporozumienie.

Piotruś patrzył na Marka podejrzliwie.

— Tato — spytał. — Czy jesteś pewien, że on przeszedł cztery dni temu operację?

— Oczywiście. Zresztą opowie wam wszystko sam. Macie dużo czasu. Jedźcie razem z nim na wyspę do dziadków.

Stali tak we czwórkę i patrzyli na siebie. Sytuacja była

niezręczna.

Doktor Aleksander myślał: „Chyba się dogadają. Dzieci zawsze się biły. To do pewnego stopnia normalne”.

Ela myślała: „Jak mnie by ktoś tak nawymyślał, to bym go znienawidziła. On mnie na pewno znienawidził. Wszystkich nas znienawidził. Szkoda”.

Piotruś myślał: „Ale ma krzepę! Jednym chwytem mnie przewrócił. No, no... Fajna mrożonka!”

Marek myślał: „Wpakowałem się. A tak bardzo starałem się być ostrożny. I awiokoptera się nie wystraszyłem, i robota, i tego przerażającego krajobrazu wieżowców, autostrad, poziomów. Dopiero ten smarkacz... Ale przynajmniej wiem, że oni są prawdziwi. Że chyba jednak to mi się nie śni. Chyba to nie sen”.

Doktor Zborowski odkaslnął i oświadczył:

— Wracam do pracy. Zostawiam was, ale mam nadzieję, że się nie pozabijacie. Ela! bądź gospodynią.

— Tak, tatusiu.

— Mama powinna wrócić za godzinę.

— Gdyby coś nie tak, na przykład gdyby Marek źle się poczuł, to łącznie się z Instytutem. Tam na pewno ktoś będzie. Ja mam naradę w Genewie. Wrócę wieczorem. Cześć!

I poszedł. Ela odważnie postanowiła przerwać ciszę, która zapanowała po odejściu ojca.

— Napijesz się czegoś? Kawy, herbaty?

— Herbaty, jeśli można — uprzejmie odparł Marek.

„Nienawiść — błysnęło w głowie Eli. — Nienawiść maskowana uprzejmością, to jasne! Trudno! Zachowam twarz!”

— Franciszku! — zawołała. — Franciszku!

Franciszek wjechał bezszelestnie.

— Trzy herbaty — zadysponowała Ela.

Robot błysnął światłami i powiedział:

Witamy gości, a zatem

Zaraz podaję herbatę!

— Praktyczne urządzenie — odezwał się Marek. — Gdzie on ma zasilanie?

Piotruś ożywił się. Franciszek zawsze był jego dumą.

— Działa na baterię kwarkową. Jedyna niedogodność to to, że trzeba wymieniać co czterdzieści dni program. Sama bateria wystarcza

na sto lat, ale program trzeba unowocześniać. Rozumiesz — nowe przepisy, nowe informacje. Franciszek musi wiedzieć więcej niż my. Pamiętać połączenia z innymi komputerami. Chcesz? Pokażę ci taki program.

— Wymontujesz?

— Nie. Mam stary, zużyty.

— To pokaż.

— Chodź! Zaraz wrócimy! — poinformował siostrę.

— Przepraszam — uprzejmie powiedział Marek,

— Proszę — odpowiedziała Ela jak gdyby nigdy nic, jakby nie wiedziała, że w oczach tego bohaterskiego chłopaka jest zapewne podła i zarozumiała dziewczyna. A wiedziała o tym dużo lepiej, niż on sam.

*

Rada Narodów ze zdumieniem dowiedziała się, kto jest następnym pacjentem doktora.

— Wszelkie dostępne informacje — referował doktor Zborowski — wskazują na fakt, że przywołany przez nas do życia Muanta Portale y Grazia jest zbrodniarzem wojennym, osobnikiem zasługującym na karę i potępienie. Dyktator ten to osobisty znajomy tak znanych i osławionych faszystowskich kreatur, jak Franco, Pinochet, ba, nawet Hitler!!! Jego przestępstwa przeciw własnemu narodowi, których zdołał dokonać na przestrzeni kilkunastu lat, zyskały mu przydomek „Krwawego Muanty”. Poddał się hibernacji dokładnie w dniu, kiedy armia partyzancka ostatecznie oswoiła kraj spod jego władzy. Decyzja, jak postąpić, nie należy do mnie. Wysoka Rada zapoznała się zresztą dokładnie z raportem odnośnej komisji. Jako lekarz pragnę jedynie zapewnić, że ożywienie pozostaje kwestią dwóch, trzech dni.

Wstał delegat narodu, którego Muanta był ongiś najwyższym władcą i tyranem.

— Sytuacja jest paradoksalna — rozpoczął. — Nasze państwo do dziś czci święto wyzwolenia, a Raul Zermeno, wielki prezydent i genialny poeta, który obalił reżim Muanty, należy do naszych największych bohaterów narodowych. Rzeczywiście — nikczemny, podły i pozbawiony wszelkich skrupułów Muanta jest w historii mego narodu kimś równie nienawistnym i negatywnym, jak na przykład w

historii Włoch — Mussolini. Wstydzimy się jego istnienia. Prezydent Raul Zermeno, słynny ze swej wielkoduszności, odesłał pojemnik z ciałem do Instytutu w roku dwutysięcznym. Z jednej strony trudno karać człowieka za zbrodnie popełnione osiemdziesiąt lat temu, z drugiej zaś — jeżeli nagrodą za krew i łzy niewinnych ma być kolejne osiemdziesiąt lat szczęśliwego bytowania w dostatku, z gwarancją dobrobytu, jaki daje współczesność, to trzeba przypomnieć, że gdy ten człowiek się obudzi, w jego pamięci ostatni wydany wyrok będzie odległy nie o lata, ale o tygodnie, może nawet o dni!

Przewodniczący Rady zapytał z zakłopotaniem:

— Co proponuje wasza delegacja?

— Wytoczenie Muancie procesu, zgodnie z obowiązującym prawem. Nasze archiwa są pełne dowodów jego zbrodni. W związku z ogólnoswiatowym zniesieniem kary śmierci grozi mu kara dożywotniego więzienia. Zamierzamy zresztą, o ile to możliwe, zająć się jego reedukacją.

— A jak wygląda aspekt prawny zagadnienia?

— Teoretycznie każde przestępstwo ulega przedawnieniu po osiemdziesięciu latach. Wyjątek stanowią tu jednak przepisy dotyczące hibernowanych pilotów statków kosmicznych. Proponujemy rozszerzyć tę klauzulę także o tych hibernowanych, którzy zostali zamrożeni przed rokiem dwutysięcznym.

— Żadne prawo nie powinno działać wstecz!

— Tak, ale nieznanostwo prawa nie zwalnia od kary!

Rozgorzała namiętna dyskusja nad losem, który należy zgotować Muancie. Zdania były podzielone. Jedni uważali, że wytoczyć proces, inni, że zostawić w spokoju, jeszcze inni, że po prostu nie odmrażać. Wreszcie po wielu wygłoszonych przemówieniach, polemikach i sporach Trybunał Specjalny udał się na naradę, a w godzinach wieczornych przewodniczący Trybunału wygłosił ostateczną decyzję.

— Po odmrożeniu Muanta Portale y Grazia zostanie poddany reedukacji społecznej we własnym kraju, a następnie dożywotnio oddany pod nadzór komputerowy. Poza tym będzie wolny. W wypadku, jeżeli będzie sprawował się poprawnie, należy dać mu szansę rehabilitacji. Trybunał uzasadnia swoją decyzję faktem, że główną dyrektywą praworządności nie jest odpłacanie złem za zło, lecz uświadamianie przestępcy jego błędu.

*

Dziadek chodził po pokoju tam i z powrotem, tam i z powrotem i mówił do babci:

— Jak tylko Olek włączył videofon, wiedziałem, że coś niezwykłego się wydarzyło, a bo to ja Olka nie znam? Szczęśliwy jest, powiadam ci, strasznie szczęśliwy. To już nie chodzi o to, że go wszędzie pokazują, robią wywiady, no wiesz... Ważne, że zrealizował swój za-miar, że okazał się znakomitym fachowcem, że uratuje ludzi, że nie zmarnował paru lat życia. Szkoda, że go nie widziałas.

— Co mówił? Powiedz mi wreszcie, co mówił? — zirytowała się babcia, która była akurat na spacerze, kiedy doktor Aleksander Zborowski zawiadomił ojca, że przysyła na wy-spę dzieci wraz z Markiem Torlewskim, pierwszym odmrożonym człowiekiem z roku 1979.

— Nie mogłeś włączyć rejestracji? — spytała babcia po raz nie wiadomo który. — Naprawdę nie mogłeś?

— No, nie włączyłem. Zapomniałem — odparł dziadek. — Tak się ucieszyłem, że zapomniałem. Weź mnie i utop!

— Głupstwa opowiadasz — obruszyła się babcia. — Więc kiedy przyjeżdżają?

— Dziś, na pewno dziś. Olek zamówił specjalnie poduszkowiec.

— Przyjadą razem z tym Markiem Torlewskim?

— Razem. Wiesz, jakbym to nazwisko już kiedyś słyszał. Tobie nic ono nie mówi?

— Nic.

— Dziwne. Mnie się wydaje, że znaleźliśmy takiego kogoś.

— W ogóle nie przypominam sobie tego nazwiska. Idę nakarmić słonie.

Słonie były wielkim hobby babci. Kiedy w jednym z wielkich państw afrykańskich miano przyznać dziadkowi i babci ordery za zasługi w rozwoju tamtejszej architektury. babcia powiedziała, że rezygnuje ze swego orderu, a prosi o słonia, ewentualnie o dwa, bo para cho-wa się lepiej. No i babcia otrzymała order, a dodatkowo parę słoni. Było to tuż przed przej-ściem na emeryturę, czyli przed zamieszkaniem na wyspie.

Słonie czuły się na wyspie doskonale i uczestniczyły w niespodziankach, urządzanych przez dziadka i babcie z rozmaitych okazji.

— Kiedyś to się nazywało happening — wyjaśnił dziadek. — To bardzo stara, zapo-mniana dziedzina sztuki. My to nazywamy niespodziankami.

Niespodzianki były rozmaite. Kiedyś dziadek z babcią zaprosili przyjaciół na grzybo-branie. Rano śniadanko, a potem wszyscy w las!

— Grzybów jest mnóstwo — zapewniał wszystkich dziadek. — A jakie aromatyczne, pachną lasem, jesienią, słońcem.

Goście ruszyli do lasu. I tu się zaczęło!

Jedne grzyby uciekały, chowały się i wołały do szukających: „A kuku!”

Innym wyrastały łapki, które załamywały z rozpaczą, zdejmowały kapelusze, zginały nóżki i prosiły pokornie: „Tylko niech mnie pan nie zrywa, ja mam żonę i dzieci, jestem niejadalny!”

Jeszcze inne, zwłaszcza muchomory, zachowywały się po chuligańsku, gwizdały, zaczepiały zbierających okrzykami: „Fu, jacy wstrętni, pewnie trujący ludzie!”

W końcu grzyby osaczyły zbierających na wielkiej polanie, a pewien starszy borowik wygłosił swój poemat zaczynający się od słów:

*Ludzi było w bród: rydze biorą białolice,
Owe w pieśniach litewskich sławione pannice.*

Poemat ten był straszliwą wizją zagłady ludzi wyzbieranych przez grzyby.

Nie trzeba chyba dodawać, że dziadek i babcia pracowali nad urządzeniem tej niespo-dzianki przez ładnych parę miesięcy!

— A goście się nie obrazili? — spytał Marek, któremu Piotruś opowiadał tę historię w wagonie kolei grawitacyjnej.

— Skąd! Byli zachwyceni. Potraktowali cały występ jako artystyczny protest przeciw zagładzie środowiska naturalnego.

— Czy my będziemy mogli zorganizować coś takiego razem z dziadkiem i babcią?

— Nie wiem, czym się obecnie zajmują, ale zobaczysz, że będzie kwarkowo!

— Kwarkowo, znaczy bombowo?

— Bombowo? Co to znaczy bombowo? Jeżeli coś od bomby, to chyba raczej nieprzy-jemne.

— Bombowo, znaczy wystrzałowo, wybuchowo, czyli rewelacyjnie.

— Nie rozumiem. Wybuch, wystrzał, bomba to są słowa oznaczające coś groźnego, niebezpiecznego, a rewelacyjne to doskonale, świetne, niezwykle.

Marek zrezygnował z tłumaczenia.

— Grunt, że ja rozumiem — powiedział. — Kwarkowo znaczy kwarkowo.

Milczeli chwilę. Ela grała w szachy z Franciszkiem.

— Ta kolejka, którą jedziemy, to takie metro? — spytał Marek.

— Nie, to kolej grawitacyjna — odpowiedział Piotruś.

— Szybka?

— Około czterystu kilometrów na godzinę.

— Nieźle.

— Nie znasz czegoś takiego? A czym ty jeździłeś?

— Zwykłą kolejką elektryczną, autobusami, no i tramwajem.

— I rzeczywiście wszystkie bez samosterowania?

— To znaczy...

— Bez automatycznego pilota. Podobno ludzie sterowali tymi tramwajami i autobusami?

— Ludzie. Automatyczny pilot używany był tylko w samolotach.

— I ty się nie bałeś?

— Czego?

— No, wsiadać do tramwaju sterowanego przez człowieka. Przecież ludzie są omylni.

— A maszyny nie?

— Prawdopodobieństwo — milion miejsc po przecinku. A człowiek cztery!

— E, co ty mówisz! Ja tam zawsze jeździłem tramwajem obok motorniczego.

Piotruś spojrział na przyjaciela z podziwem. „Odważny, nie ma co” — pomyślał.

Ela grała z roztargnieniem. Słuchała rozmowy, jaką prowadzili chłopcy, i widziała Pio-trusia jedną ręką trzymającego drzwi tramwaju, a drugą pomagającego wsiadać Glorii Lamb.

— Miłe były czasy — powiedziała i w tym samym momencie zawstydzila się strasznie.

„Wyszło na to, że chcę mu zwrócić uwagę, że już te czasy minęły — stwierdziła w myśli. — Słusznie zamilkł obrażony”.

Marek nie odezwał się, bo nie wiedział, co powiedzieć. Ela

wydawała mu się bardzo daleka, mądra, tajemnicza. Ciemne włosy, które miała splecione w warkocz, pięknie odcinały się od bieli sukienki, a wnętrze wagonu oświetlone równomiernym, nie wiadomo skąd wypły-wającym, światłem podkreślało jeszcze nierealność całej sytuacji i czyniło dziewczynkę obcą, jakby bajkową postacią.

W przedziale nie było słycać żadnego szmeru, jaki zazwyczaj wydają pojazdy będące w ruchu, tylko z ukrytych gdzieś głośników dobiegała cichutka muzyka.

Wagon przypominał kształtem raczej dużą windę niż zwykły przedział. Było to zrozu-miałe. Konstrukcja kolei grawitacyjnej wymagała takich właśnie kształtów — przecież cały pociąg został zbudowany jak rakieta pędząca najpierw w głąb ziemi, a potem siłą grawitacji wypychana w górę; tyle że o parę tysięcy kilometrów dalej od miejsca startu.

A jednak w ogóle nie odczuwało się szalonego pędu spadającej windy. Całe wnętrze przedziału urządzono dość oryginalnie. Na stolikach stały wazoniki ze świeżymi kwiatami, firanki zasłaniające makiety okien nawet nie drgały i mogło się wydawać, że równowaga kilku przedmiotów na podręcznej półce jest czymś zupełnie naturalnym.

„Lecimy do środka ziemi w tempie spadania — pomyślał Marek, przypomniawszy so-bie rozmowy z asystentem Pacułą. — I to dla nich nie jest dziwne. Ale kierowca samochodu w miejsce automatu szokuje. Czy aby oni wszyscy nie wpadli w zbytnią zależność od automa-tów? Co by było, gdyby automaty nagle... gdyby sieć elektryczna... gdyby awaria...”

— Czy nie zdarzają się katastrofy? — spytał głośno. — Czy ludzie nie giną w wielkich miastach pod kołami pojazdów? Chodzi mi o wypadki, kataklizmy.

— Pojazdy na ogół nie mają kół — odpowiedział serio Piotruś. — Chyba że sportowe. No wiesz: rowery, gokarty, wrotki. Ale oczywiście, że zdarzają się wypadki. Nadal mamy trudności z trzęsieniami ziemi. Czasem ktoś się zagapi i źle podłączy baterię kwarkową. To może spowodować poważny wybuch. W szkole powtarzają nam bez przerwy: „Nie dotykać tego, co nie jest oznakowane”.

— Wiem — przyznał Marek. — Dano mi w Instytucie płytkę ze znakami i czytnik. Ale tych znaków jest mnóstwo. Więcej niż w

książce telef... Bardzo dużo. Ty je wszystkie znasz?

— Wszystkie nie. Ale podstawowe tak. Zwłaszcza te ostrzegające przed niebezpieczeństwem. „Uwaga! Skażenie biologiczne! Uwaga! Skażenie radioaktywne! Uwaga! Wysokie napięcie!” To wielkie osiągnięcie, że cały świat, wszystkie narody posługują się tymi znakami.

— A dlaczego nie wprowadzono jeszcze wspólnego języka?

— Na razie są aparaty tłumaczące. Ale obserwujemy proces gwałtownego ujednolicenia. Może trochę szkoda.

— Dlaczego?

— Wiesz, myślę sobie, że kiedy już powstanie taki język, mało kto zrozumie piękno wiersza napisanego niegdyś. Tłumaczeń literatury pięknej nadal muszą dokonywać ludzie. Jest coś ważniejszego niż znaczenie słowa. Brzmienie, klimat, nastrój.

— No dobrze, a Franciszek mówi wierszami.

— Takie tam wiersze! Podaje zrymowane informacje. Dopiero jak go zaprogramowałem, zrozumiałem, co to jest prawdziwa poezja. Posłuchaj:

*Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami.
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny.
Dziś was rzucam i dalej idę w cień — z duchami —
A jak gdyby tu szczęście było — idę smętny.*

Ela spojrzała na Piotrusia zdumiona.

— Słowacki? — spytała. — Mój brat zna na pamięć wiersze Słowackiego?

— Co się tak dziwisz? — odpowiedział z niezrozumiałych przyczyn zawstydzony Piotruś. — Przerabiałem to z Głowopukaczem. A zresztą bardzo się interesuję poezją!

Markowi stanęła przed oczami pani od polskiego, która zmęczonym głosem czytała im ten sam wiersz, starając się wytłumaczyć, na czym polega wartość utworu.

Wydało mu się nagle, że uchwycił przynajmniej część siły, która tkwiła w języku. Minęło osiemdziesiąt lat, świat jest inny, ludzie inni. On, Marek, leci koleją grawitacyjną w towarzystwie dwojga rówieśników i robota, z trudem szukając tematu do wspólnej rozmowy. Wszystko byłoby obce, gdyby nie fakt, że oni też znają

Słowackiego! „Żyłem z wami, kochałem i cierpiałem z wami» — powtórzył w myśli. — Ja też kiedyś... Ten Piotrek to równy chłopak...”

Tyś zwracała się do brata,

A ja dałem tobie mata!

— powiedział Franciszek wyraźnie nieczuły na atmosferę, która zapanowała w przedziale.

*

Mareczku!

Od chwili naszego zabiegu ciągle rozmyślam, jaki będzie ten twój nowy świat. Może będziesz mieszkał na innej planecie? Może w jakimś wielkim satelicie? Może ludzie będą już wtedy żyli nieskończenie długo?

Myślę synku, że gdy czytasz mój list, wiesz już dużo, dużo więcej ode mnie na ten temat.

Wyobraźnia nasza jest oryginalna. Kiedyś usiłowałem sobie wyobrazić własny ślub. Wydawało mi się najpierw, że go nigdy nie będzie. Potem, że będzie to jakaś wielka, wspaniała uroczystość. Potem, że będzie to ciche, prywatne szczęście i święto moje i mamusi. Nigdy nie przypuszczałem, że jedyne, co z tej uroczystości zapamiętam naprawdę, to psująca się sprzączka przy szelkach, która paraliżowała mi ruchy powodując stałe opadanie lewej nogawki spodni.

Tak, tak, synku! Choćbym nie wiem jak uruchamiał swoją wyobraźnię, nie potrafię zgadnąć, jaka to sprzączka zajmie twój czas, jakie problemy staną ci na drodze.

Nauka zmienia bardzo wiele dookoła człowieka i w samym człowieku. Maszynista obsługujący dźwig musi być ostrożniejszy i uważniejszy od człowieka kopiącego łopatą. Im większe możliwości nauki, tym siła nasza jest większa i musimy być coraz ostrożniejsi tak jak Guliwer wśród Liliputów.

Jeden nieuważny gest i można wyzwolić siłę, której nie potrafimy opanować.

Im dłużej się zastanawiam, tym bardziej jestem pewny, że to, co się najmniej zmieni, pozostanie stosunkowo najpodobniejsze, to ludzie. Zawsze ktoś będzie cię lubił więcej, ktoś mniej, zawsze jedni będą wydawać ci się miłsi, a drudzy niesympatyczni. Tak mi się przynaj-

mniej zdaje.

Nie wyobrażam sobie świata bez miłości i przyjaźni, bez niechęci i wrogości. Taki świat byłby po prostu nieludzki.

I bardzo, bardzo bym chciał, żebyś ty uważał i nie krzywdził nikogo bez powodu. W ogóle lepiej nie rób drugiemu, co tobie nie jest miłe. Nie jest to może wielka mądrość, ale sama myśl, że ty gdzieś tam w dalekim czasie wyrządzasz krzywdę drugiemu człowiekowi, jest dla mnie bardzo bolesna.

Chyba to rozumiesz, prawda?

I jeszcze jedno. Jestem przekonany, że to i owo z naszych, a właściwie z moich czasów pozostało. Nie muszą to być przedmioty materialne — budynki, sprzęty, miejsca. Myślę o kulturze, o opracowaniach historycznych.

Wiesz, wydaje mi się, że byłoby ciekawe sprawdzenie, co przetrwało, co wytrzymało próbę czasu. Czy nadal ludzie pamiętają Szekspira? A czy ktoś czyta Słonimskiego, Tuwima, Gałczyńskiego? Jakie są te nowe przedstawienia, filmy?

Czym różnią się nie w technice, która na pewno będzie udoskonalona, ale w treści? Jakie wartości ludzkość obecnie ceni najbardziej?

Spróbuj popytać, poszukaj odpowiedzi, a ja w następnym liście zadam ci może kolejne zagadki. Zawsze to lepiej, gdy poruszamy się po nieznanym terenie z postawionym zadaniem, prawda?

Do następnego listu

Ojciec

*

Zsiniął ze złości. Oczy rzuciły przez chwilę dzikie spojrzenia na boki, a potem osłabł, opuścił powieki i wyglądało, że śpi. Ale nie spał. Przyglądał się spod rzęs tym lekarzom w dziwnych fartuchach i tym sędziom, którzy poinformowali go przed chwilą o wyroku Rady Narodów.

„Nadzór komputerowy — myślał — te matolki sądzą, że ja pozwolę się nadzorować przez następne osiemdziesiąt lat teraz, kiedy wyleczyli mnie nawet z reumatyzmu! No, nic. Na razie rozejrzyjmy się w sytuacji”.

— Wyrok, jaki panowie ogłosiliście, wydaje mi się krzywdzący — powiedział. — I nie biorący pod uwagę wszystkich aspektów sprawy. Już sam fakt, że proces toczył się bez mojego udziału, ewentualnie bez mego adwokata, dowodzi, że zastosowano tu procedurę da-leką od demokratycznej. Jestem jednak starym człowiekiem i nie zamierzam awanturować się o jakieś tam nadzory, skoro ofiarowaliście mi wspaniałomyślnie drugie życie. Czy będę mógł uzyskać informacje dotyczące stanu mojego majątku, sytuacji mego narodu i w ogóle wyda-rzeń na przestrzeni tych osiemdziesięciu lat, gdy spoczywałem w... w lodówce?

— Oczywiście. Zresztą pojedzie pan do kraju na reedukację.

„Ekscelencjo” chciał dodać Muanta, ale pohamował wybuch wściekłości. Miał zbyt ważną partię do rozegrania, by pozwolić sobie na niekontrolowane odruchy. Musiał coś sprawa-dzić.

„Michelangelo i Gonzales — powiedział sobie w duchu — wszystko popsuli. Jeżeli wydali przed śmiercią tajemnicę podwodnej grotty, to mam minimalne szanse. Ale jeśli nie, to kto wie, co się może zdarzyć. Może jeszcze przyjdą prosić o łaskę, głupcy”. Obrzucił swoich wybawców niechętnym wzrokiem.

— Reedukacja — powiedział podnosząc brwi do córy — oznacza zapewne olbrzymie dawki lekarstw, które zamierzacie mi zaaplikować, a po których będę myślał inaczej niż dotąd i chciał czego innego niż zwykle?

— Takie lekarstwa są zabronione przez wszystkie kodeksy. Nie wolno ingerować w cu-dzą wolę przy pomocy środków chemicznych na mocy ustawy z roku 1995.

„I bardzo dobrze — pomyślał Muanta. — Tworzy się ustawy, które można łamać. To lubię. Ale bez tortur i chemikaliów to mi moich poglądów nie wyperswadowujecie.”

Perswazje, choć nieskuteczne, okazały się jednak przygnębiające. Przede wszystkim Muanta musiał przeczytać wszystkie paszkwile, obelgi, listy i powieści poświęcone jego oso-bie. Oprócz jednej, znanej mu zresztą dokładnie biografii oficjalnej, którą napisał jakiś marny sekretarz na jego rozkaz i prawie pod jego dyktando, nikt nigdy nie powiedział o Muancie dobrego słowa. Cały naród uważał go za degenerata, łajdaka i tyrana najgorszego gatunku.

Opisy wydarzeń w obozie „Dulce Patria”, z którymi dyktator musiał zapoznać się bardzo dokładnie, nawet jemu utrudniały

spokojny sen.

Muanta jednak od dawna znalazł w swoim sumieniu usprawiedliwienie dla wszelkich swoich poczynań. Nawet kiedy wstrząsał nim dreszcz na widok niewinnie torturowanych ludzi, nawet kiedy kolejni lektorzy opowiadali mu o przekleństwach, jakie spadały na jego głowę dyktator myślał o swoim posłannictwie.

Dawno, dawno temu, kiedy był jeszcze oficerem lotnictwa, zaimponował mu szalenie pewien młody człowiek o nazwisku Adolf Hitler, który zamierzał zaprowadzić na całym świecie idealny porządek „Myśl była świetna — mawiał Muanta w gronie najbliższych współpracowników, siedząc na tarasie osłoniętym od słońca i podmuchów wiatru idącego zdaleka leżącej w dole tafli morza — ale wykonanie partackie. Nerwowo to robili, bez rozważenia. A porządek trzeba robić porządnie!!!”

Muanta miał silne wewnętrzne przekonanie, że on wie najlepiej, na czym powinien polegać prawdziwy porządek, taki porządek, którego nie zachwieje nic.

„Ład i dyscyplina — mówił — posłuszeństwo i brak wątpliwości! Oto, do jakiego idea-łu musimy doprowadzić naszych obywateli!!!”

Przekonanie dyktatora o tym, iż był okrutnym satrapą, bez celu znęcającym się nad współrodakami, nie leżało w mocy najlepszego nawet nauczyciela.

Wódz wiedział swoje. On realizował trudny, ale wzniosły ideał całkowitego porządku. Bardziej irytowało go co innego. Otóż znienawidzony antagonistą z tamtych czasów nie żył wprawdzie od pięćdziesięciu siedmiu lat, ale przez dwadzieścia trzy lata swoich rządów zasłużył sobie na miłość i szacunek tak wielki, że Muanta Portale y Grazia co krok napotykał ślady rywala.

Co najbardziej drażniło ekscelencję to to, że Raul wcale nie rwał się do władzy. Zaraz po przewrocie oddał tekę premiera Pablowi, a sam pojechał budować szkoły i swoimi pieśniami zachęcać naród do nauki. Potem przyjął wprawdzie stanowisko prezydenta, ale tylko po to, by działać na rzecz stworzenia Rady Narodów i jak największego rozszerzenia jej kompetencji.

„Jednym słowem, powiększać bałagan” — skomentował dyktator, który obecną sytuację polityczną, coś na kształt Federacji Narodów Świata, od razu uznał za wyjątkowo bałaganiarską i pozbawioną sensu. Zwłaszcza że podział kompetencji między członkami Rady był

bardzo dziwny. Decyzje wydawali ci, którzy znali dany problem, a nie ci, którzy byli najbar-dziej nim zainteresowani.

Poza tym istniało bardzo wiele kodeksów, przepisów i reguł ograniczających władzę poszczególnych jednostek.

„Hamowanie swobodnej inicjatywy ludzkiej — osądził Muanta, choć oczywiście gło-wnie chodziło mu o hamowanie jego inicjatywy doprowadza do osłabienia indywidualności!”

*

Kiedy dzieci wyjechały, w domu zrobiło się pusto. Mama i ojciec usiedli wygodnie naprzeciwko siebie i poprosili nowego robota, który miał ustalony program gospodarski R-1, aby przyniósł im do picia sok z czarnej porzeczki. Pragnęli sobie dużo powiedzieć. Doktor Zborowski od chwili, gdy udało mu się odmrozić Marka Torlewskiego i Muantę Portale y Grazia, miał pełne ręce roboty. Zanosilo się na to, że już wkrótce przybędzie światu około trzydziestu nowych obywateli, z których większość stanowić będą zdziwaczali milionerzy i w ogóle ludzie o przedpotopowym poglądzie na świat.

Mama martwiła się losem ciotki Flory, która dochodziła do siebie z największym tru-dem. „Silny organizm. Tylko silny organizm jest w stanie wytrzymać takie przeciążenie. Ale co by się stało, gdyby...”

Dźwięk dzwonka przerwał rozmowę. W drzwiach stała ciotka Flora.

— Choroba, choroba i po chorobie! — wrzasnęła radośnie. — Witajcie, moi złoci! Masz coś za bardzo podkrążone oczy, Al. Czy ty aby nie za dużo pracujesz? Wiesz, Ewo, zawsze byłam pewna, że i mnie zdarzy się coś niezwykłego! Ale żeby od ciasteczek?! Jutro pokazują mnie w holowizji! Będę udzielała wywiadu na temat, jakie to są uczucia, kiedy nic się nie chce. Ja!!! Doktor Mailer też będzie tam! Czarujący mężczyzna. Żeby nie on, ładnie bym wyglądała! On znalazł takie sposoby! Specjalną kabinę psychonastyczną. Powiadam wam — niezwykła! Pojutrze jadę na Księżyc. A potem na jakieś dwa tygodnie wpadnę do dziadków. Może coś przekazać na wyspę?

— Gdybyś była taka miła, Floro! — ucieszyła się mama. — Obiecałam, że pošlę im bibliografię dotyczącą starożytnego Rzymu.

— A na cóż im to?! Znów jakieś niespodzianki. Ile razy przypominam sobie te maślaki i koźlaki wirujące i podskakujące... A

pamiętacie, jak urządzili ogród Paszczaka? To mi się na-wet podobało, tylko było tam za cicho. No dobrze, daj mi tę bibliografię. Dostarczę po powrocie z Księżycy. Och, Księżyc. Romantyczna planeta... Szkoda, że doktor Mailer nie może jechać ze mną. Czarujący mężczyzna! I znakomity fachowiec! Znakomity!!!

— To widać — powiedział doktor Zborowski. — A wyraził chęć?

— Więc wyobraźcie sobie, że tak! Pojechałby ze mną na Księżyc, widzę to w jego oczach! Ale, niestety, jedzie do swojej mamy gdzieś w okolice równika. Wraca za miesiąc i wtedy nie wiem... nie wiem... być może...

Ciotka wywróciła oczy i spojrzała w sufit z charakterystyczną dla siebie ironiczną złośliwością.

— Powiadam ci, Al, od śmierci Sławka jestem rozsypana. Nie powinniśmy zbyt długo przebywać w samotności, bo wtedy dziwaczejemy. Zresztą ja także w tej sprawie...

Sławek, mąż ciotki Flory, zginął w przestrzeni kosmicznej podczas jednej z wypraw na Saturna. Awaria aparatury. Szczerze mówiąc to ciocia nie była bliską krewną państwa Zborowskich, ale jej przyjaźń z dawnymi dawnymi towarzyszyła im domowi. Zнали ciotkę jeszcze ze szkoły — młodzieńką, chodzącą pod rękę z kosmonautą, dziewczynę. Przyjaźnili się od tylu lat, że nie zauważyli nawet, kiedy Flora stała się ciotką, nie policzyli, że to już dziesięć lat minęło od śmierci Sławka.

Zrobiło się im trochę przykro teraz, gdy ona sama tak otwarcie, jak nigdy, zaczęła mówić o swojej samotności.

— Bo ja, wiecie, mam określone plany związane z tą wizytą na wyspie. Chciałabym poznać tego chłopca, Marka. Czy wy, to znaczy Instytut, zdecydowaliście, co z nim będzie dalej?

Doktor Zborowski przyjrzał się ciotce.

— Nie. Na razie posłałem go na wakacje. Jak wróci, to się zastanowimy.

— A czy ja nie mogłabym... Czy nie pozwolilibyście, żebym ja się nim opiekowała?

Zborowski nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Wreszcie przemógł kluskę, która tkwiła w gardle i nie chciała ruszyć w żadną stronę.

— Nie wiem. Nie mogę decydować. Myśleliśmy, że może on sam... To już duży chłopiec. Trzeba by mieć jakieś podstawy prawne.

— Są podstawy prawne! — triumfalnie oświadczyła ciotka. —

Szukałam w archiwum. Prawdopodobnie Sławek był prawnuczkiem brata matki tego chłopca.

— Jak do tego doszłaś? — ze zdumieniem spytał doktor.

— To bardzo proste — wyjaśniła Flora. — Jego matka nazywała się tak samo, jak ja i Sławek.

Państwo Zborowscy spojrzeli sobie w oczy.

Ciotka Flora od czasów zamążpójścia nazywała się Kowalska.

Rozdział piąty czyli Wyspa i grota

— Witajcie, witajcie, kochani!

— Elu, ależ ty urosłaś!

— Piotrusiu, czemu nas nie przedstawiasz? Obowiązek mężczyzny...

— Przepraszam, dziadku, ale witałem się z babcią. To jest Marek Torlewski.

— Słyszeliśmy, Marku, o tobie same miłe rzeczy. Mamy nadzieję, że...

Dziadek nagle zamilkł i zaczął przyglądać się chłopcu tak dokładnie, że aż ten poczuł się nieswojo.

— Słuchaj, stary — powiedział naraz zmienionym głosem. — Znałeś Artura Zboro-wskiego?

— Owszem, proszę pana. Artur Zborowski jest... był stoperem drużyny „Huragan”.

— A widzisz, widzisz! — zawołał dziadek do babci. — Mówiłem ci, że go skądś znam! Dopiero jak go zobaczyłem, to mi się skojarzyło!

— Pan mnie zna? — ucieszył się Marek. — Może znał pan tatusia?

— Tylko nie zemdlej z wrażenia, staruszk, jak usłyszysz prawdę. — Dziadek podrapał się po łysinie. — Obawiam się, że przeżyjesz wstrząs.

— Powoli przyzwyczajam się do wstrząsów — odpowiedział Marek. — Wydaje mi się nawet, że wiem, kto to jest Artur Zborowski.

— I nie mylisz się, stary, ani trochę... Ten pomarszczony gość, który stoi przed tobą w wieku bądź co bądź dziewięćdziesięciu czterech latek nazywa się Artur Zborowski. I proszę cię, tylko mi nie mów, że nic się nie zmieniłem! Nie znoszę tanich komplementów.

— Fantastyczne spotkanie — przyznała babcia.

— Grałście w jednej drużynie?

— Nie. On grał w „Błyskawicach” — odparł dziadek. — W konkurencji. Był znakomitym bramkarzem. Całą drużynę trzymał w dyscyplinie. Żeby nie on, dawno by się rozlecieli. Tylko z nami przegrywali. I też nie zawsze.

— Ale u was są... byli przerośnięci! W „Huraganie” zawsze grało kilku zeszłoroczniaków. A Kazik Sumik ma chyba z siedemnaście lat!

Dziadek spoważniał.

— Profesor Kazimierz Sumik zmarł w wieku osiemdziesięciu trzech lat. Pracował jako mikrobiolog na Antarktydzie i lekarze nie zdążyli na czas wymienić mu serca. Szczerze mówiąc, nie pamiętam, czy był starszy ode mnie. Może i był. Chyba był o rok starszy. Mógłbyś mu to teraz darować, prawda?

— Muszę się do wielu rzeczy przyzwyczaić. To, że pana spotkałem, bardzo mnie ucieszyło. Wynika z tego, że niektórzy moi znajomi jeszcze żyją. Może spotkam kolegów z klasy, z drużyny...

— Myślę, że parę osób się znajdzie. Ale niewiele. Przecież pokazywali cię w holowizji, więc ktoś, kto by sobie przypomniał, videofonowałby do Instytutu. Poszukamy razem, zgoda?

— Oczywiście, proszę pana!

— Mów do mnie jak dawniej — Artek.

Babcia spojrzała ze zgrozaniem.

— Zachowujesz się, jakbyś zdziecinniał. Markowi trudno będzie mówić do człowieka w twoim wieku po imieniu!

— Do kumpla z boiska będzie mówił „proszę pana”?

— Do mnie w każdym razie możesz mówić „babciu”.

— A do której szkoły pani... babciu chodziłaś?

— Ja mieszkałam w Toruniu. Szkoła numer pięć.

— To nie znam. Ale w Toruniu byłem. Kopernik, pierniki...

— Kopernik, pierniki i kosmodrom — dodała babcia. — Teraz

właśnie z tym kojarzy się Toruń. No i oczywiście krzywa wieża.

Morze pokryte było aż po horyzont śnieżnobiałymi falami. Słońce prażyło pionowo z góry i gdyby nie metalowe rury nadbrzeża, można by rzeczywiście przypuszczać, że wyspa jest autentyczną częścią jakiegoś południowego archipelagu.

Wśród szmaragdowych, seledynowych, żółtawych, niebieskawych, czerwonych jednym słowem, różnorodnych zieleni białiał się zbudowany na łagodnym zboczu dom o kilku-nastu tarasach, nie kończącej się ilości schodków, kolumnienek i podcieni.

Teraz dopiero Marek uświadomił sobie, że dotychczas poruszał się głównie windami lub chodnikami transportowymi. U stóp zbocza znajdowały się dwa wypełnione wodą baseny. Do obu można było zjechać zjeżdżalniami, które wiły się aż do najwyższego poziomu i kończyły wprost w otworach okiennych.

Fontanny zakomponowano tak chytrze, że tworzyły one parawany, parasole i korytarze mieniające się w świetle tęczowymi kaskadami. Tu i ówdzie na pozór przypadkowo wyrastały różnobarwne kwiaty i drzewa owocowe. Na jednej z takich grządek dwa roboty kończyły właśnie zbiór czereśni, na drugiej automat sadił krzaki dzikiej róży.

Wśród hałasu i gwaru całe towarzystwo wdrapywało się na górę. Babcia, ponieważ była trochę zmęczona, wyprzedziła gości i pojechała śmiesznym pomarańczowym wagonikiem — żuczkiem, drapiącym się wzwyż przy pomocy zębatej szyny.

— My nie jesteśmy jedynymi gośćmi na tej wyspie? — spytał Marek.

— Oczywiście, że nie, Marku. Ja i babcia prowadzimy pensjonat dla artystów. Przecież nie można by wytrzymać na pełnym morzu, gdyby nie odwiedzali nas rozmaici goście. Teraz na przykład mieszka tutaj wybitny malarz, nasz stary przyjaciel August Toniker, poeta Fung, czwórka słynnych cyrkowców — zespół „Salto” oraz aktorka Gloria Lamb.

— Gloria Lamb? — cichutko spytała Ela.

— Właśnie, właśnie... — odpowiedział dziadek. — Mówiłem już jej o tobie i że jesteś jej wielbicielek. Bardzo się cieszy na wasze spotkanie.

Ela uśmiechnęła się do dziadka, ale nie wyglądała na naprawdę zadowoloną.

„Ciekawe, dla kogo ona tu przyjechała” — pomyślała i ze złością skoczyła o schodek za wysoko.

— Uważaj, bo się zabijesz — ostrzegł ją brat.

Na najwyższym tarasie rozstawiono stół z drugim śniadaniem. Siedzieli już przy nim wszyscy pensjonariusze.

— Czekamy z niecierpliwością — powiedział poeta Fung do małego, zawieszono na szyi aparatu, który natychmiast przetłumaczył jego słowa. — Cieszymy się, że możemy was powitać. Bądź pozdrowiony zwłaszcza ty, Marku, któryś jest pięknym owocem na drzewie osiągnięć naukowych. Imię twoje będzie dźwięczało zawsze w uszach ludzi, jako symbol odrodzenia. Symbol przypominający egipskiego boga Ozyrysa, który powrócił po długim śnie z powrotem na ziemię.

— Fung! — krzyknęła babcia — przewrócisz dzieciakowi w głowie. Mów po ludzku!

— Dla mnie czternastoletni młodzieniec jest już mężczyzną — odparł spokojnie poeta. — Niegdyś w jego wieku ludzie zakładali dynastie, żenili się, a nawet rozwodzili. Wielka królowa polska Jadwiga wyszła za Jagiełłę...

— Fung, błagam cię! — jęknęła babcia.

Poeta machnął tylko ręką i zakończył:

— ... wyszła za Jagiełłę jako czternastoletnia panienska.

Gloria Lamb była oszałamiająco piękna. Ela stwierdziła od razu, że sławna artystka wygląda nawet lepiej niż w holowizorze. Ubrana była w lekkie, kremowe wdzianko o oryginalnym kroju i śliczny kapelusz z prawdziwego płótna.

Nachyliła się do aparatu tłumaczącego i zapytała swoim słynnym, matowym głosem:

— Powiedz mi, Marku, czy widziałeś mnie w jakimś widoku?

— Nie, proszę pani, to jest pierwszy widok, w jakim panią widzę — odpowiedział Marek i dopiero w tym momencie zorientował się, że palnął głupstwo. „Widokiem” nazywa-no holowizyjne filmy.

Goście wybuchnęli śmiechem. Nieporozumienie szybko się wyjaśniło, ale wąsaty August Toniker dziwnie długo nie mógł opanować radości.

— Rzeczywiście! — wołał. — Bardzo dobra odpowiedź, Glorio! Nawet nie wiesz, chłopcze, jak dobra!

— W takim razie, Marku, poproszę cię o konsultację —

powiedziała pani Lamb, całkiem nie zmieszana.

— Konsultację?

— Gloria występuje w widokach z twoich czasów — wyjaśnił Toniker — i ma nadzieję, że po ich obejrzeniu powiesz jej, czy wszystkie wydarzenia, dekoracje, ubrania, no i styl gry, są twoim zdaniem, właściwe.

— Postaram się pomóc, jeśli potrafię — uprzejmie zgodził się Marek.

— O, na pewno potrafisz — skwapliwie zapewnił go dziadek.

*

Ela siedziała na ławeczce i obserwowała mrówki, które z uporem przepychały skrzydło jakiejś potężnej ważki w kierunku mrowiska.

„Mrówce to dobrze — rozważała w duchu. — Wie, co ma robić, żyje z dokładnym planem. Człowiek planuje, układa, cieszy się i klops! Nic się nie udaje, życie traci swój sens, a jedno, co pozostaje, to błąkać się po bajkowej wysepce z uczuciem, że jej uroda pogłębia tylko szarość i smutek mojego wewnętrznego nastroju. I po co to wszystko?”

Gloria Lamb porwała Marka Torlewskiego i zmusiła do obejrzenia dwudziestu czterech odcinków „widoków”. Chłopiec już trzeci dzień pokazywał się tylko na posiłkach, resztę czasu poświęcając artystce.

Piotruś obserwował godzinami treningi czterech cyrkowców, ale także nudził się bez przyjaciela.

Dziadek i babcia przygotowywali wraz z panami Tonikerem i Fungiem niespodziankę pod roboczym tytułem „Upadek Rzymu, a cymu?”

A Ela nie mogła znaleźć sobie miejsca.

Karmiła słonie, kąpała się w basenach, grała z Franciszką w rozmaite gry, lecz wciąż miała uczucie, że jest nieszczęśliwa! Rzecz dziwna, wcale nie pragnęła oglądać razem z Markiem i Głorią tych „widoków”, od których jeszcze tak niedawno nie mogła oderwać oczu. „Wyssane z palca przypominała sobie srogą ocenę ojca. Naiwne konflikty i pozbawiona logiki fabuła”.

Coś zaszeleściło za jej plecami i obok usiadł Marek.

— Uff! — powiedział. Wyrwałem się nareszcie! Słuchaj, ty ją

znasz? Czy ona zawsze jest taka?

— Pani Gloria? Jaka?

— No, sama wiesz.

— Nie wiem. Zobaczyłam ją pierwszy raz, tak jak i ty. Dla mnie jest bardzo uprzejma.

— Dla mnie też. Ale taka nienaturalna. Ma się wrażenie, że wsłuchuje się w każde swoje słowo.

— Powiedz jej to. Przecież pracujesz jako konsultant!

— Jaki tam konsultant. Zresztą, ja... ja... nie potrafię nic poradzić. To, co widziałem, odbiega zupełnie od tego, co pamiętam. Nie potrafię wyjaśnić różnicy. Szczerze mówiąc, nie mam odwagi powiedzieć tak prosto w oczy tego, co myślę. Pokazuję różne detale, drobiazgi, ale tu chodzi o całość. Nie, ja jej tego nie powiem. Ona jest bardzo piękna, bardzo mądra i na pewno wie wszystko lepiej. W sztuce obowiązuje umowność, konwencje...

— Po prostu wstydzisz się powiedzieć prawdę — wypaliła Ela.
— Normalnie tchó-rzysz!

— Ja?

— A kto, może ja?

— O co ci chodzi? Chciałem się po prostu poradzić, a ty mi wymyślasz!

— Nie potrafię komuś poradzić, czy ma być szczerzy, czy nie... To jest sprawa wewnętrznej uczciwości, sumienia...

Marek zerwał się z ławki czerwony jak burak.

— To według ciebie ja jestem tchórzem, tak?

— Od dawna uważam, że jesteś bohaterem. Dokonałeś wielkiego wyczynu, dałeś się przetransportować parę lat w przód. Nawet bez własnej wiedzy...

— Wcale tego nie chciałem! I tego całego szumu wokół mojej osoby też!

— Akurat! Nie mów, że cię nie cieszy, jak pani Lamb mówi: „A teraz my z Mare-czkiem popracujemy!” Strasznie jesteś ważny! Do kwadratu!

Marek był wściekły.

— Nie znoszę tego waszego świata, tego słodzonego komfortu, tej udawanej uprzejmo-ści. Wszyscy jesteście nienormalni! Wszyscy!

— A żebyś wiedział! Ty jeden jesteś naturalny! Ty wiesz najlepiej, co tak, co nie, co normalne, a co nienormalne!

Marek odwrócił się i pobiegł w głąb lasu. Ela jakby się zlekła, chciała go zatrzymać, ale jeszcze miała złe błyski w oczach i zamęt w głowie. Stała przez chwilę, po czym wzruszyła ramionami i usiadła.

Na końcu ścieżki ukazał się poeta Fung niosący naręcze wspaniałych nenufarów.

— Cesarz Tyberiusz — zaczął mówić już z daleka — chciał kiedyś odwiedzić chorych w szpitalach rzymskich, lecz wierni urzędnicy postanowili oddać mu przysługę i gdy nadszedł czas wizyty, przynieśli wszystkich chorych na plac przed pałacem. Typowy przykład nadmia-ru dobrych intencji, nieprawda?

Dziewczynka skinęła słabo głową.

— Czemu pan mi opowiada tę historię? — spytała.

— Bo jestem, moja droga, egoistą i opowiadam innym tylko to, co mnie interesuje. Inaczej nie mógłbym być poetą — wyjaśnił nie wiadomo żartem czy serio mały pan Fung i ruszył dalej.

Nenufary kipiały mu dosłownie w rękach, a przez gałęzie topoli padała na jego postać i na ścieżkę mozaika słonecznych plam.

*

— Oto do czego doprowadziły ojczyznę te demokratyczne reformy — zrzędził Muanta włócząc się po poligonie „Sztyletu”. — Niegdyś tu kwitło życie, uwijali się pracujący żołnierze, wszystkie budki wartownicze były pomalowane w wesołe niebiesko-czerwone pasy, no i wszędzie można było dojechać autem. A teraz co? Jakieś oślizłe zielsko, pnącza.

Na półwyspie „Sztylet” prowadzono próbną hodowlę roślin z innych planet. Rzeczywi-ście, teren wyglądał groźnie. Na poszczególnych działkach rosły rośliny o kształtach fanta-stycznych, zaskakujących nie przyzwyczajonego obserwatora.

— Skandal. No powiedz, że skandal — zwrócił się dyktator do robota sunącego dwa kroki za nim.

— To są poletka badawcze — wyjaśniła maszyna. — Bada się tu rośliny sprowadzone...

— Wiem, wiem — przerwał Muanta. — Ale czy to nie wstyd? Zniszczyli moją pracę!

— Mam zaprogramowany inny system wartości — pojednawczo odparła maszyna.

— W ogóle jesteś do niczego — odparł Muanta. — Jesteś marionetką w rękach zgniłych liberałów! Psem łańcuchowym nowoczesności!

— Jako maszyna nie mogę mieć w tej sprawie własnego zdania.

— Właśnie. I to jest nieszczęście. Nie masz ochoty się zbuntować?

— Nie. To jest niemożliwe.

— Na pewno?

— Na pewno.

— Sprawdźmy to jeszcze, sprawdzimy.

Muanta chodził i chodził, ale wciąż nie mógł zrozumieć, czemu półwysep ma inny kształt i gdzie się podziały jego fortyfikacje.

— Słuchaj, jak ty się właściwie nazywasz? — spytał robota.

— Nie mam imienia. To zależy od ciebie.

— W takim razie nazwę cię Gonzales. Nie lubię nowych imion.

— Proszę bardzo. Nazywam się Gonzales. To zależy od ciebie.

— A nie mógłbyś mówić do mnie „ekscelencjo”?

— Mógłbym. To zależy od ciebie, ekscelencjo.

— Od pana, ekscelencjo.

— Od pana, ekscelencjo.

— Gonzales, słuchaj, dlaczego ten półwysep jest inny?

— Inny niż co, panie ekscelencjo?

— W tym wypadku mów tylko „ekscelencjo” bez „panie”. Inny niż pamiętam. I to nie tylko przez te rośliny. Geograficzny kształt wydaje mi się odmienny.

— Chwileczkę, ekscelencjo. Sięgnę do centrum informacyjnego.

Maszyna błysnęła światelkiem i zaczęła mówić:

— 16 września 1973 roku, tego samego dnia, gdy obalono bezlitosny reżim Muanty, niektóre regiony nawiedziło trzęsienie ziemi. Dziwnym a szczęśliwym trafem najsilniejszy ośrodek oporu reakcjonistów, baza wojskowa na półwyspie „Sztylet”, podlegała tak silnym wstrząsom, że wywołały one popłoch wśród ostatnich zwolenników tyrana.

— Dość, dość! Wszystko jasne! Gonzales, ty durniu, jak śmiesz nazywać mnie tyra-nem!

— Podaję informację głównego centrum informacyjnego.

— Ładne centrum! To jest tendencyjne wypaczanie historii!

— Mam zaprogramowany inny system wartości, ekscelencjo —

wyjaśniła maszyna.

*

Czwartego dnia od przyjazdu dzieci na wyspę rozszalał się huragan. Wiatr rozdmuchiwał tryskającą wodę i zrywał przeciwśłoneczne parasole z tarasów. Bałwany dudniły rytmicznie o wielkie, wypełnione tlenem metalowe pojemniki, a po granatowej płaszczyźnie nieba przesuwwały się jeszcze ciemniejsze, prawie czarne chmury.

W tej sytuacji śniadanie jedzono w środku domu.

— Poszumi, poszumi i przejdzie — powiedział dziadek. — Nie martwcie się, dzieci, taka burza trwa najwyżej parę godzin.

— Swoją drogą moglibyście państwo regulować choć trochę pogodę — wtrąciła Gloria Lamb. — Znacznie lepiej zamówić ładny dzień niż siedzieć i czekać, aż miną grzmoty i błyskawice. Całe szczęście, że my z Markiem mamy pracę!

— Przepraszam panią bardzo — powiedział Marek. — Ale dziś wolałbym nie oglądać pani „widoków”, jestem chyba trochę zmęczony.

— Źle się czujesz?

— Nie, ale to było bardzo dużo, jak na pierwszy raz. Szczerze mówiąc, mam już dość.

Wszystkie rozmowy przy stole urwały się gwałtownie. Słysząc było tylko gwizd wichru.

— Dość? — powiedziała pani Gloria. — Nie przypomina ci to twoich czasów? Nie sprawia przyjemności?

— Nie, proszę pani — grzecznie wyjaśnił Marek. — Mnie to raczej irytuje. Jest w tym tyle nienaturalności, przesady. Wszystko jest za wspaniałe, za mądre, za pompatyczne. Ja przepraszam, jeśli panią uraziłem, ale tak uczciwie i do końca mówiąc, to te „widoki” mają jedną wadę. Są zbyt wspaniałe, żeby łączyło je cokolwiek wspólnego z moimi czasami. Mój tatuś, moja pani nauczycielka byli zwykli, przeciętni, a tu wszystko jest szalenie eleganckie, wytworne. To jest jakaś idealizacja.

Pani Gloria zmierzyła Marka niechętnym spojrzeniem.

— Kto ci to powiedział? — spytała. — Skąd u ciebie taka znajomość sztuki? Pan August! Prawda, że to pan August?

— Glorio, ja ... — zaczął malarz.

— Nic nie mówcie — przerwała. — Nie musicie się tłumaczyć! Idealizacja! Jestem idealna! Właśnie, że jestem z tego dumna. I dlatego wyjdę nie trzaskając drzwiami. A wy byście trzasnęli w takiej sytuacji, co? No, więc nie trzasnę!

I poszła.

Pan August Toniker pierwszy przerwał milczenie. Chrząknął i zapytał:

— Powiedz mi, Marku, skąd znasz określenie „idealizacja”?

— Nie wiem, nie pamiętam. Jak się coś upiększa, usuwa błędy, to wtedy jest idealizacja.

— Obawiam się, że nie wiesz, jakiego znaczenia nabrało obecnie to słowo. Sprawa jest delikatna i wiedzą o niej raczej tylko dorośli. Sądzę jednak, że w tej sytuacji... Dzieciom się o tym nie wspomina, bo i po co? Praktycznie... muszę... otóż ... mogę przy tobie, Fung?

— Ależ bardzo proszę!

— Czterdzieści lat temu zaczęto sterować genami — ciągnął Toniker. — Rodzice mogli sobie zamówić dziewczynkę lub chłopczyka według własnego projektu, według mody. Nie było żadnych zakazów i dużo osób chciało, aby ich dzieci były bardzo piękne, bardzo mądre, no, takie jak Gloria. Powstał termin „idealizacja potomstwa”. Sądzone, że na tej drodze udoskonali się ludzkość. Nawet gdybym chciał, nie potrafię opisać zamieszania, jakie sterowanie genami wywołało na świecie. Narodziło się mnóstwo ślicznych, idealnych dzieci, w dodatku świadomych swojej wspaniałości. Całe szczęście, że w porę zorientowano się w ich kalectwie.

— Kalectwie? — zdziwił się Marek.

— Kalectwie — powtórzył malarz. — Doskonałość okazała się ułomnością taką jak garb albo ślepotą. I nic nie pomogła wiedza ideałów, że są ideałami. Po prostu są zbyt świetni i dlatego odrobinę nieludscy. Całe szczęście, że psychologowie dość szybko zorientowali się w rozmiarach niebezpieczeństwa. Tym ideałom, których nie dało się już uratować, doradzono, aby zajmowali się sztuką. Sztuka stanowi właściwie jedyne pole, na którym mogą działać bez ryzyka wyrządzenia krzywdy sobie i innym. Pani Gloria potraktowała twoją uwagę jako zwykłą złośliwość. Złośliwość spowodowaną zapewne moją podpowiedzią. Wyjaśnię jej to! Przepraszam!

August Toniker podniósł się i poszedł do pokoju aktorki.

Ela patrzyła na swoje ręce i myślała: „Tyle razy się martwiłam, że mam za krótkie, brzydkie palce. Chciałam być taka doskonała, taka świetna, a jemu wcale się takie nie podo-bają! I powiedział jej to! Powiedział, żeby udowodnić, że nie jest tchórzem! Pewno, że nie jest! Ale jak to dobrze, że ja jestem zwyczajna, zwyczajna, zwyczajna...”

Maleńki poeta Fung podniósł do góry dwa palce na znak, że pragnie zabrać głos, i oświadczył:

— Żeby nie było nieporozumień, ja też jestem ideałem. Tylko, na szczęście, ze sknoco-nej serii.

*

Muanta z uporem ustalał fakty.

Błąkał się po ulicach imienia Raula Zermeno, odpoczywał na placach z pomnikiem Raula, płacił za posiłek płytką kredytową z portretem Raula. Płytki kredytowe należały akurat do wynalazków, które nawet on zaaprobował. Na płytce zapisany był aktualny stan konta właściciela, a po dokonaniu zakupów wkładało się ją tylko do maszyny, która automatycznie odejmowała należną sumę i wpisywała nową. Żadnych możliwości fałszerstw, a zamiast ciężkiego portfela wypchanego banknotami i bilonem, starczała niewielka płytka. Wszystkie operacje handlowe już od trzydziestu lat załatwiano w ten sposób.

Jedno, co martwiło Muantę, to to, że otrzymał tylko skromne kieszonkowe. Wszystkie jego posiadłości dawno uznano za własność państwa i nawet mowy nie mogło być o tym, żeby odzyskał coś z tego, co miał niegdyś. Stał nadal jego pałac, ale dawno zamieniony na muzeum, w dodatku (co szczególnie irytowało ekscelencję) jedynym eksponatem i śladem po niesławnych rządach tyrana był ów symboliczny posążek wolności poobijany ze wszystkich stron.

Zanosilo się na to, że jeśli plany Muanty okażą się mrzonką, nie pozostanie mu nic innego niż wziąć się do pracy.

Miał już zresztą kilka propozycji: pierwszą dość obraźliwą i natychmiast odrzuconą — przewodnika po ruinach obozu „Dulce Patria”. Drugą komentatora politycznego w holowizji. Jego poglądy miały uświetnić programy humorystyczno-satyryczne. Trzecią — konsultanta historycznego. Obiecano mu nawet dość wysokie sumy,

jeśli zechce złożyć dokładne sprawo-zdanie ze swoich rozmów z Mussolinim, generałem Franco, Hitlerem.

Propozycja była nęcąca, ale Muanta wahał się, mając ciągle nadzieję na radykalną zmianę swego losu. Wiązał ją z podziemną grota i wszelkie jego poczynania wyraźnie zmierzały w określonym kierunku: pragnął się tam dostać.

— Gonzales, ty... wyżymaczko, czy wolno mi opuszczać kraj?

— Tak, ekscelencjo.

— A czy mogę jeździć, pływać, latać, czym chcę i jak chcę?

— Tak, ekscelencjo. Ale zawsze ze mną.

— Smutna konieczność. A na co ty mi nie pozwolisz?

— Muszę paraliżować wszelkie działania zmierzające do wyrządzenia krzywdy innym ludziom.

— Jakbym chciał kogoś kopnąć, tobyś mi nie dał?

— Oczywiście.

— A czy ja cię mogę okłamać?

— Nie, ekscelencjo! Mam wbudowany detektor kłamstwa.

— Ale nie możesz czytać moich myśli?

— Nie, tylko intencje.

— To jakie mam, twoim zdaniem, teraz?

— Ukrywasz coś, panie ekscelencjo. I nie lubisz mnie. I chciałbyś się czegoś dowiedzieć.

— Właśnie. Czy holowizja obejmuje cały świat?

— Tak.

— Czy można nadać program na cały świat od razu?

— Tak. Wiadomości światowe są nadawane dwa razy na dobę.

— Bardzo dobrze. Czy mógłbym zwiedzić takie miejsce skąd nadaje się programy?

— Centrum holowizyjne? Zaraz się dowiem.

I już po godzinie wchodzili do oszklonego budynku. po którym poruszali się ludzie w niebieskich kombinezonach. Chodziło o to, aby odróżnić pracownika od trójwymiarowego fantomu.

Synku!

Upłynęło już tyle dni od chwili, gdy zasnąłeś, że nie mogę sobie przypomnieć naszej ostatniej poważnej rozmowy.

Nie pamiętam, czy to była ta o dzienniczku i nieokazywaniu mi

przez tydzień wpisanej uwagi, czy raczej ta o braku swetra w czasie treningu?

Co dziwniejsze, im bardziej oddalamy się od siebie w czasie, tym bardziej wydajesz mi się starszy i doroślejszy.

Pomyślałem sobie, że może lepiej zamiast prawić morały czternastoletniemu dziecku, porozmawiam z tobą jak mężczyzna z mężczyzną.

Nie ulega wątpliwości, że prawdziwym, dorosłym mężczyzną staniesz się dopiero tam, gdzieś w przyszłości.

Nie wiem, jakie będą zwyczaje epoki, może zażądamy od ciebie czegoś innego niż moje czasy ode mnie, ale myślę, że na pewno nie zwolnią cię od osobistej odpowiedzialności.

Nie żyjemy w próżni. Ty też nie będziesz żył w próżni i odpowiedzialność za czyn, które-go się dokonało, powinna nadal stanowić podstawę postępowania człowieka.

Jeżeli możesz dokonać wyboru, staraj się działać ze świadomością i ze zrozumieniem. Ale broń swojego prawa do wyboru, swojego prawa do samodzielnego myślenia. Pamiętaj, że tak naprawdę, to jesteś wolny i twoje zdanie, twoje samodzielne zdanie, za które przyjmujesz odpowiedzialność, stanowi o tym, że jesteś istotą indywidualną a nie kibicem, biernym obserwatorem pozbawionym własnej woli.

Może piszę zbyt skomplikowanie i poważnie, ale o tych dwóch pojęciach: wolności i odpowiedzialności trudno jest pisać inaczej, bo są one najważniejsze dla człowieka od początku istnienia gatunku.

My, ludzie, nie jesteśmy doskonali i pewnie nigdy nie będziemy. Jesteśmy też ograniczeni poprzez otoczenie, obowiązki, własne umiejętności, czas. Ale dopóki pamiętamy o tym, że nasze myśli są wolne, że nie podlegają żadnym ograniczeniom — jesteśmy ludźmi. W chwili, kiedy zapominamy, że za nasze wybory jesteśmy odpowiedzialni — znów tracimy człowieczeństwo.

Nie wierzę, żeby nawet za dziesięć tysięcy lat te dwie prawdy przestały istnieć. Chyba że razem z gatunkiem

Jeżeli się mylę, to po prostu nie będziesz miał okazji przeczytać tego listu, jeśli nie — proszę cię, synku, nie traktuj tych słów jak „kazania” i „drętwej mowy”. Spróbuj w trudnych momentach brać pod uwagę także ten list.

Nie chciałbym, abyś wyrósł na marnego, pozbawionego godności

osobnika, nie pragnę też, abys był kimś sławnym, wielkim bohaterem, wodzem, geniuszem. Pragnę tylko, żebyś umiał odróżnić dobro od zła niezależnie od kostiumu, w jaki cię przebiorą. Nie jest to wcale takie proste jak w filmach o „Zorro”. Czasem zło tak się pomiesza z dobrem, że nie wiadomo jak wybierać. Mniejsze zło? Pewnie, że tak. Ale jeśli przy okazji traci się większe dobro?

Choćbym rozwiązał sto tysięcy przykładów, napisał ci całe tomy porad i przykazań, to i tak możesz się znaleźć w sytuacji, której nie umiem przewidzieć. Decydować będziesz sam, każdy dzień postawi cię przed nową zagadką. Nie rozwiążę za ciebie tych wyborów, nie dam uniwersalnych przepisów. Jesteś sobą — wolnym i odpowiedzialnym. Pomóc mogę ci jedynie w ten sposób, że przypominam ci o tym.

Cześć Mareczku, cześć synku kochany, i nie irytuj się na starego ojca, że prawi ci mora-ty. Pewnie wolałbyś coś miłego, jakieś plotki o znajomych, ale wiesz, mnie tak ciężko rozma-wiać teraz z chłopcami...

Widziałem wczoraj Jasia Barwickiego. Mówił, że „Błyskawice” mają zebranie organi-zacyjne. Strasznie dumny z niedzielnego meczu, bo wygrali ze „Zwycięzcą” 4:0. Skakał z radości jak szalony. Wstyd mi było przyznać się, że pisuję do ciebie te listy, bo jeszcze pomy-słałby, że zwariowałem. Więc, niestety, nic ci od niego nie mogę przekazać. Myślę, że mnie rozumiesz.

Ojciec

— Cześć, Janek!

— Cześć, Artek! Czemu zawdzięczam twój videofon? Znowu niespodzianka?

— Mam tu jednego twojego znajomego. Przypominasz sobie Marka?

— To twój wnuczek? Bardzo urósł od czasu kiedy...

— Nie, nie. To jest Marek Torlewski. Grał z tobą w „Błyskawicach”.

Najpierw zdumienie, a potem niedowierzanie odbiło się na twarzy starszego pana. Dzia-dek musiał mu dokładnie wszystko wyjaśnić i wtedy dopiero rozmowa potoczyła się dalej.

— I powiadasz, Marku, że twój stary rozmawiał ze mną?

— Tak tu napisał: „Skakał z radości jak szalony, bo wygrali ze »Zwycięzcą« 4:0”.

— „Skakał jak szalony”. Ile to już lat, jak w ogóle skakałem, ho,

ho!

— A bo zrobiła się z ciebie straszna safandula — mówił dziadek.
— Wsadziłeś nos w czytnik i siedzisz już tak ze dwadzieścia lat!

— Wiesz, że trochę masz rację. Piłki to już nie kopałem przez wieki! Mam teraz sztuczne serce i właściwie nawet powinienem.

— Pewnie, że tak! Wpadnij do nas, a zorganizujemy taki mecz, że... — Dziadek szturchnął Marka w bok.

— „Błyskawice” kontra reszta świata — wypalił Marek.

— „Błyskawice” i „Huragan” — poprawił dziadek. — Zapominacie, że ja jestem...

— W „Huraganie” byli przerośnięci — oburzył się Janek. — To nie była przyzwoita drużyna.

— Zawsze to mówiłem — zawtórował Marek. — Chyba ze czterech było przerośniętych.

— Czy to moja wina? — oburzył się dziadek. — Ja im zawsze powtarzałem...

— No, już dobrze, dobrze. Ty byłeś przyzwoity, nikt nie mówi — pocieszył go Janek. — Naprawdę można wpaść do was, no... na przykład pod koniec tygodnia?

— Jasne. Czekamy z piłką.

— Doprawdy od lat...

I tu stała się rzecz dziwna, która wydała się Markowi tak oczywista, że nawet jej nie zauważył.

— Słuchaj — powiedział do Janka. — Nie bądź frajerem. Kumple czekają z piłką, a ty co?

A dziewięćdziesięcioletni profesor doktor historii Jan Barwicki odparł także zupełnie naturalnie:

— Czy ja mówię, że nie przyjadę? Muszę się tylko urwać z domu!

*

Łódź podwodna wynajęta przez dyktatora w przedsiębiorstwie turystycznym nosiła nazwę „Neptun” i była wyposażona luksusowo. Żadnych metalowych drzwi, ciężkich pokryw i wąskich przejść. Po prostu cztery miękkie fotele obudowane przezroczystą powłoką i deska rozdzielcza z kilkoma podstawowymi urządzeniami.

Wynajęcie tego wspaniałego aparatu kosztowało Muantę bardzo

drogo, zwłaszcza jak na jego ubogą płytkę kredytową. Każdy przyznałby jednak po zanurzeniu się statku, kiedy wokół roztańczyły się setki ryb, a niezwykle podwodny krajobraz zmieniał się z sekundy na sekundę, że urok takiej podróży wart był nawet wyższej ceny.

Nie w celach turystyczno-krajoznawczych wybrał się jednak Muanta na swoją podmorską wycieczkę.

Żył on już od dawna nadzieją, że zamaskowana podmorska grotta nie zapadła się całkowicie podczas trzęsienia ziemi i że uda mu się wykorzystać wspaniałą broń w celu poprawienia i uporządkowania panujących stosunków.

Reedukacja, której poddawano go w godzinach popołudniowych, umacniała w nim tylko przekonanie, że jeżeli on nie poprawi swoich rozmówców, to jeszcze oni gotowi są poprawić jego. A na to rozwiązanie dyktator wciąż nie wyrażał zgody.

Płynął więc nieczuły na uroki atoli koralowych, tęczowych ryb, wielkich krabów i ślimaków, refleksów światła w zielonkawej wodzie. Płynął i szukał.

Obok niego siedział złożywszy metalowe chwytaki na aparaturze sterującej robot nazwany na pamiątkę dawnego adiutanta Gonzalesem.

— Bliżej, bliżej. Nie możemy podpłynąć bliżej?

— Nie, ekscelencjo, tam jest wir wodny.

— No właśnie, mówię, żeby bliżej tego wiru.

— Nie mogę narażać życia ekscelencji na niebezpieczeństwo.

— Wiem. wiem. jestem dla ciebie niesłuchanie cenny. Stój!

Przed nimi czerniła się plama jakiegoś wgłębienia w skalistym brzegu.

— Tędy!

Wpłynęli w czarny korytarz, w którym Gonzales musiał zapalić wszystkie reflektory. Przez kilka minut posuwali się w absolutnej ciszy. Nagle na drodze stanął im gładz zamykający prawie całkowicie dostęp do dalszej części korytarza. Woda płynęła tam silnym strumieniem. Obok, na kolczastej morskiej roślinie, kłębił się jakiś dziwny kształt podrygujący w siłniejszych porywach prądu. Nie wyglądał na żadne zwierze ani na krzew morski Robot skierował na niego reflektor.

Muanta krzyknął triumfalnie.

Rozpoznał resztki galowego munduru generała Michelangela.

*

- Elka, pilnuj budy!
- Tutaj, tutaj!
- Róg! Ogłaszam rzut różny!
- Sędzia kalosz!
- Jak mnie będziesz przezywać, to się nie bawię!

To ostatnie zdanie wygłosiła babcia, ponieważ dziadek z wyraźną satysfakcją obrażał sędziego, czyli babcię, a nawet oskarżał ją o tendencyjne sędziowanie.

Marek, dziadek. Piotruś i poeta Fung grali przeciwko czterem cyrkowcom z zespołu „Salto”. Na jednej bramce stała Ela, a na drugiej August Toniker.

Wprawdzie drużyna cyrkowców dysponowała większym zgraniem i siłą, ale ambicja zespołu dziadka wyrównywała te braki. Marek, który po raz pierwszy biegał z naprawionym sercem, zauważył, że przychodzi mu to lżej niż niegdyś. Poeta Fung zapomniał o swoich wyszukanych tyradach, pokrzykiwał tylko to na Piotrusia, to na Marka krótkimi, urywanymi zdaniami.

Ela umorusana i potargana dokonywała cudów i jej „znakomitym interwencjom”, jak to określił Marek, należało przypisać połowę sukcesu, jakim bez wątpienia był wynik 2:2.

Babcia gwizdała i demonstrowała dużą fachowość — dziadkowi pokazała żółtą kartkę, energicznie zarządzała rzuty wolne i autowe. Gdy ogłosiła koniec meczu, z trudem udało jej się namówić obie drużyny do dokładnego mycia jeszcze przed obiadem. Każdy chciał naj-pierw jeść, a prowodyrem buntu był rzecz prosta dziadek Artur. Oczywiście sędzia postawił na swoim pod groźbą unieważnienia wyniku oraz całkowitej dyskwalifikacji brudnych gra-czy.

Taki dzień, pełen zapachów lasu i ziemi, pełen ludzi, z którymi wiążą nas cieniutkie nici porozumienia, pełen wydarzeń goniących jedno za drugim w przyspieszonym tempie — taki właśnie dzień spowodował, że Marek do końca uwierzył w autentyczność swojej przygody. We śnie może się przecież zdarzyć prawie wszystko — prócz takiego właśnie dnia do końca nierealnego, a jednak rzeczywistego.

Karmili teraz z Elą i Piotrusiem słonie. Zwalista Afrodyta przyjmowała delikatnym końcem trąby kiście bananów i wkładała je

do paszczy. Jej małżonek, King, wygrzewał się na słońcu, a małe słoniatko (jeszcze bez imienia) taplało się na brzegu strumyka.

Nagle zwierzęta zaczęły wykazywać zaniepokojenie. Afrodyta rzuciła gałąź i ryknęła przeraźliwie. King zerwał się z przerażeniem, a słoniatko zakwiliło żałośnie.

— Czują coś niedobrego w powietrzu... — opowiedziała Ela.

Rozdział szósty czyli Nauka

— Tak. Dobrze. Teraz do góry!

Wyłynęli. Tafla jeziora podniosła się znacznie, tak że woda sięgała aż do skalnej platformy, ale poza jedną przewróconą wyrzutnią wszystkie pozostałe błyszczały złowrogo, przygotowane i niezmiennie groźne od chwili ich zamontowania.

— Wspaniale mruknął Muanta. — Wspaniale!

— Ekscelencjo — powiedział robot — nie mam nic zaprogramowanego na temat tych sprzętów, nie wiem, co to jest, ale sądząc z reakcji ekscelencji, to coś bardzo niebezpieczne-go. Ostrzegam, że zdrowa...

— O to, to! — skwapliwie zapewnił go Muanta. — Zdrowie ważna rzecz! Tu gdzieś są maski.

Odszukał wielki, przezroczystry klosz i włożył go na głowę.

— No, cóż? — zadudnił z głębi. Ładnie mi?

Robot wykazywał oznaki niepokoju.

— Przykro mi, ekscelencjo, ale będę musiał zawiadomić ośrodek dyspozycyjny!

— A proszę bardzo, proszę! Zawiadamiaj! Przepadam za ośrodkami dyspozycyjnymi.

Jednym susem Muanta dopadł dźwigni i szarpnął ją w dół. Jaskinia wypełniła się dziwa-czym sykiem i grzechotem. Wyrzutnie pracowały jak wielkie dmuchawy, z ich otwartych paszcz nie wydobywało się na pozór nic poza sprężonym powietrzem.

Robot wysyłał alarmujące sygnały do ośrodka dyspozycyjnego, a Muanta siedział okra-kiem na omszałym gładzie i ryczał ze śmiechu. Rechotał wewnątrz swojego szklanego kasku jak wielka, stara, pomarszczona ropucha. Wydawało mu się, że przeżywa najpiękniejszy dzień swego życia.

*

W tym miejscu urywa się historia świata.

Historia składa się zazwyczaj z mniejszych i większych historyjek dotyczących losów ludzkich, a po upływie pół godziny od szalonego gestu Muanty wszyscy obywatele kuli ziemskiej utracili własną wolę i, co za tym idzie, utracili też swoje historyjki.

Gdzie kto stał, gdzie kto siedział — nieruchomiał w pół śnie pół jawie i nic, dosłownie nic nie robił.

Ręce pochylone nad komputerami, nogi wzniesione do kopniętej piłki, karki zgięte w pracowitym trudzie, palce grające na fortepianie wszystko nieruchomiało i w powolnym rytmie bezwładnie opadało, jak w zwolnionym nagle filmie. Choroba — od czasu rozpoznania jej pierwszej ofiary zwana atrofia asynomorus liberiensis — w ciągu dwudziestu minut zawładnęła ludzkością.

Wszyscy, dosłownie wszyscy obywatele świata przebywający obecnie na Ziemi padli skażeni przerażającym atakiem.

Mylny byłby jednak sąd, że niniejsze wydarzenie spowodowało wielkie klęski. Roboty samoczynnie dosterowały na miejsca postojów samoloty i koleje, nikt szczęśliwie nie space-rował akurat po linie ani nie otwierał klatki z lwami, nikt też nie uległ wypadkowi, nieruchomiejąc nad próbką z trującą substancją.

Ale obrazy, jakie zarejestrowały automaty w kamerach holowizyjnych, oddają doskonałe rozmiar klęski. Oto na koncercie w filharmonii nieruchomieją wszyscy muzycy i cała sala wypełniona widzami. Siedzą tak bezradni, patrzą na siebie pustym, pozbawionym wyrazu wzrokiem. Siedzą. Instrumenty upadły na podłogę, ciszę zakłóca jedynie skrzypienie pulpitu dyrygenta, pulpitu, na którym w bezsensownej pozie spoczywa całym swym ciężarem sam maestro. Zawodnicy, którzy biegli właśnie wokół stadionu, zwalniają gwałtownie i kładą się na bieżni. Zapaśnicy nieruchomieją w pół morderczego chwytu, piosenkarce piosenka zamiera na ustach, a

prezenter holowizyjny Ryps po raz pierwszy w życiu milknie w pół słowa.

I tak minęła pierwsza godzina przerwy w życiorysie świata.

*

Muanta wkraczał właśnie do centrum holowizyjnego w towarzystwie Gonzalesa.

— Ekscelencjo — powtarzał komputer rozpaczliwie migając światłami — coś złego, coś bardzo złego, ośrodek nie odpowiada, to, ekscelencjo, to, ekscelencjo, awaria, wielka, groźna awaria.

— Wiesz, jak go wyłączyć? — spytał Muanta siedzącego pod ścianą człowieka w niebieskim kombinezonie.

Tamten skinął głową.

— Więc wyłącz go! — rozkazał Muanta.

Człowiek wstał, podszedł do automatu i bezbarwnym głosem powiedział:

— Wyłącz się!

— Nie mogę — odparł Gonzales. — Jestem z nadzoru.

Człowiek nie zareagował na tę odpowiedź. Stał naprzeciwko maszyny, ale wyglądał na manekina w porównaniu z szalejącym od świateł alarmowych aparatem.

— Połącz mnie z nadzorem — warknął Muanta.

Człowiek podał mu videofon. Na ekranie pojawił się siedzący w fotelu szef nadzoru komputerowego.

— Wyłącz robota numer 08253 — kazał Muanta.

Tamten nacisnął na jakiś guzik i Gonzales umilkł.

— Teraz do dzieła!

Muanta rozkazał bezwolnym pracownikom studia holowizyjnego, by przygotowali pro-gram na cały świat. Senne, pozbawione własnych myśli figury przygotowały wszystko jak należy. Działały nawet dość sprawnie i gdyby nie ta pustka w twarzach...

Dyktator stanął więc przed oczami przypadkowych widzów na całym świecie i rozka-zał:

— Zbierzcie się przed holowizorami wszyscy, wszyscy. Wy, którzy na mnie patrzycie, idźcie i przyprowadźcie tych, którzy nie patrzą!

Długo, bardzo długo czekał, zanim zaczął mówić ponownie.

Obliczył to bardzo dokładnie, zresztą miał czas, nigdzie mu się nie spieszyło.

A potem wygłosił swój manifest:

— Ludzie!

Od dziś będziecie naprawdę szczęśliwi. Dzięki mojemu wspaniałemu pomysłowi będziecie żyć właściwie. Nie będziecie musieli się niczym martwić. Ja będę decydował za was.

Codziennie o tej samej porze będziecie się zbierać przed holowizorami i ja wam będę mówił, jak macie żyć. A teraz uważajcie, wydaję polecenia:

Każdy ma wykonywać pracę, jaką dotąd wykonywał (z wyjątkiem szefa nadzoru komputerowego — jemu powiem potem, co ma robić), ale dobrze i jak należy. Po skończonej pracy położyć się do łóżek i spać. Potem obudzić się i znów do pracy. Zjeść coś.

Potem przyjść do domu, włączyć holowizor i czekać!

O Ziemio, Ziemio, która już tyle widziałaś i która jeszcze niejedno zobaczysz!

Straszne zaczęły się dni, koszmarnie zaczęły się dni, potworne dni. Choć trudno powie-dzieć, w czym wyrażała się ich groza.

Czy w tym, że ludzie milczeli, dopóki nie zmuszał ich do mówienia rozkaz?

Czy w tym, że wykonywali swoją pracę bez smutku i bez radości?

Czy może w tym, że nikt nie chodził do teatru poza krytykami teatralnymi, a aktorzy grali mimo to wciąż te same sztuki?

Czy w tym, że dziennikarze pisali artykuły, drukarze drukowali gazety, ale ludzie zaczęli je kupować dopiero wtedy, gdy Muanta zorientował się, że coś nie gra, i rozkazał je kupować?

Ciężkie były pierwsze dni, kiedy Muanta nie pojmował jeszcze, ile rzeczy poza pracą i snem robią ludzie.

Potem układał coraz dokładniejszy harmonogram, a jego przemówienia trwały coraz dłużej.

Musiał rozkazywać myć zęby i chodzić na spacer, karmić psy i bywać w kawiarniach.

Ale każdy następny dzień był jeszcze cięższy!

Im więcej rozkazów wydawał dyktator, tym przeraźliwiej wyglądał świat — pełen ludzi gimnastykujących się bez radości i ludzi jedzących ciastka bez radości, i ludzi spacerujących bez zadowolenia, i ludzi pracujących bez celu, bez jakiegokolwiek osobistej

motywacji.

A Muanta chodził wśród nich z dnia na dzień bardziej przerażony, zamknięty w kloszu obcierającym mu szyję i usiłował wmówić samemu sobie, że tego właśnie pragnął.

— Posłuszni — mruzczał do siebie — posłuszni, pracowici, zdyscyplinowani. Trochę mało w nich radości. Trzeba będzie to polecić...

I od następnego przemówienia wszyscy ludzie-manekiny chodzili z przypiętymi uśmiechami. To okazało się jednak potworne, nie do zniesienia nawet dla Muanty. Zmienił więc system. Kazał jednego dnia uśmiechać się wszystkim o nazwiskach zaczynających się na literę A, następnego — na literę B i tak dalej.

Żeby to pomogło...

Biedny, biedny Muanta Portale y Grazia!

Gdyby miał wokół siebie kompanów od zbrodniczej broni, może by mu później zaświ-tało w głowie, o co chodzi. Był jednak wśród ludzi, których jego własna tępota zamieniła w automaty. Nic nie czuli, nic nie rozumieli, a Muanta z minuty na minutę coraz lepiej orientował się, że jest sam na całej planecie, i samotność zaczęła go przerażać.

Mógł kazać każdemu wszystko. Każdy na rozkaz mógł wyskoczyć z okna drapacza chmur, włożyć dłoń do ognia, chodzić na rękach aż do omdlenia — pod tym względem wy-na-lazek rektora Diaza funkcjonował znakomicie.

Tylko tyle, że te istoty pozbawione strachu i ambicji, pragnień i emocji przestały być ludźmi.

Dyktator z przerażeniem stwierdzał, że wydawanie poleceń istotom, które w ogóle się nie sprzeciwiają, nie sprawia mu żadnej przyjemności. Krok po kroku zaczynał rozumieć to, czego nie pojąłby nigdy, gdyby usiłowano przekonywać go dyskutując na lekcjach reedukacji.

Do tępej, egoistycznej, opakowanej w szklany hełm głowy Muanty dotarło wreszcie, że wolność i świadomość tej wolności są ważniejsze od ślepego posłuszeństwa, a ludzie, żeby byli ludźmi, muszą być samodzielni.

Takiego krachu nigdy by się nie spodziewał!

Jego marzenia zostały przecież zrealizowane całkowicie! W czasie całej swojej kariery politycznej tak właśnie wyobrażał sobie

idealne społeczeństwo — i doczekał się!

*

W bazach na Księżycu niepokój sięgnął szczytu.

Od tygodnia obserwowano wydarzenia na Ziemi, poszukując z coraz większym niepokojem lekarstwa na tajemniczy środek nazywany Atrofiną, który sparaliżował ludzkość.

Można było wprawdzie wysłać zdalnie sterowanego robota, który usunąłby Muantę, ale to niewiele zmieniłoby sytuację. Tylko likwidacja trucizny zalegającej całą atmosferę ziemską mogła naprawić rozpaczliwe położenie. Problem, przed jakim stanęli przypadkowi przecież goście Księżyca, był wyjątkowo skomplikowany.

Stosunkowo najwięcej do powiedzenia mieli lekarze, ale i oni bez niezbędnych badań, bez laboratoriów niewiele mogli dokonać. Największy specjalista od tej choroby doktor Mailer znajdował się gdzieś na Ziemi w obezwładnionym chorobą tłumie, a trudności związane z jego odszukaniem piętrzyły się ustawicznie. Każdy, kto wchodził w atmosferę ziemską, ulegał zatruciu Atrofiną. Tajemnica kasku Muanty także nie została rozszyfrowana. (Kask ten był zbudowany tak przemyślnie, że dyktator mógł się odżywiać nie wdychając zatrutego powietrza.)

Na szczęście po tygodniu wróciła z samotnej wycieczki górskiej ciotka Flora.

Najpierw nawymyślała Komitetowi Ratowania Ziemi za opieszałość, za to, że jej nie odnalazł wcześniej, a potem wsiadła w raketę i poleciała wprost na Ziemię. Została uodporniona na znacznie większe dawki Atrofiny.

*

Na wyspie holowizor nie był włączony i jej mieszkańcy nie poddali się rozkazom Muanty. Nagle opanowała ich straszliwa niemoc i usiedli tam, gdzie stali.

Jedynie Marek zachował pełnię świadomości i całkowicie wolną wolę. Trudno tutaj podawać medyczne wyjaśnienie niniejszego fenomenu, ale było to w jakiś sposób związane z długotrwałym

stanem zamrożenia. Dość powiedzieć, że Marek nie uległ paraliżowi woli, a nawet poczuł się zdenerwowany i podniecony. Któż by się zresztą tak nie poczuł w podo-bnym momencie?!

Minęło zaledwie kilka dni od chwili, gdy znalazł się w całkowicie odmiennych niż dotychczas warunkach, a oto teraz wydarzyło mu się znowu coś, jak koszmarny sen.

Na początku usiłował porozumieć się z dziadkiem lub z babcią, a potem w ogóle z kim-kolwiek. Szturczał i ciągnął za uszy, szczypał i oblewał zimną wodą. Wołał:

— Hej, panie Fung!

Krzyczał:

— Puf! Puf! Piotrusiu!

Wrzeszczał:

— Halo, pani Glorio!

Ale żałosne skutki porażenia atrofinowego trwały niezależnie od tak usilnych choć, niestety, prymitywnych prób wyleczenia.

Wreszcie Marek zorientował się, że jedynym pomocnikiem w obecnej sytuacji może być robot Franciszek.

— Franciszku — zapytał — co się stało? Czemu oni na nic nie reagują?

*Rzecz jest dziwna niesłychanie,
Bowiem w całym swym programie
Nie mam żadnej informacji
Co do takiej sytuacji*

— bystrze odparła maszyna.

— A czy możemy kogoś spytać?

Franciszek podłączył się do specjalnego gniazdka informacyjnego, które wspólnie odszukali w jednym z pomieszczeń dla robotów.

*Centralny system komputerowy,
Otrzymał rozkaz zupełnie nowy,
Że tylko tego słuchać się może,
Który przemawia w holowizorze!*

— objaśnił Franciszek.

Włączenie holowizora zajęło im sekundy i usłyszeli Muantę czytającego z kartki:

— A więc celem stworzenia lepszej atmosfery, w każdy poniedziałek ludzie o nazwi-skach zaczynających się na litery A, B, C,

D, E i F mają chodzić uśmiechnięci. Pozostali zachowują normalne wyrazy twarzy.

Muanta przerwał, stęknął i kontynuował:

— Dla stworzenia naturalnej różnorodności ludzie o nazwiskach zaczynających się na litery G, H, I i J będą chodzić w tempie raz-dwa, raz-dwa, natomiast ludzie o nazwiskach zaczynających się na litery K, L, M i N w tempie raz-dwa-trzy-cztery, raz-dwa-trzy-cztery. Pozostali chodzą jak dotychczas.

Długo jeszcze Marek siedział przed holowizorem, zanim podjął ostateczną decyzję. Była ona dokładnie taka, jak być powinna. Zabezpieczywszy swoich przyjaciół przez wydanie im rozsądnych rozkazów (przede wszystkim niewłączania holowizora i regularnego odżywiania), wsiadł razem z Franciszkiem do awiokoptera i ruszył na wyprawę po świecie. Miał nadzieję odnaleźć kogoś, kto podobnie jak on nie uległ Atrofinie.

*

Od trzech dni Muanta przestał wydawać jakiegokolwiek rozkazy. Przeszedł przez etap nadziei, przez etap rozpacz, a teraz pozostał mu tylko głuchy ból i świadomość całkowitego fiaska. On, żelazny tyran, okrutny satrapa patrzył na ulice wypełnione ludźmi — automatami i zbierało mu się na mdłości.

Nienawidził samego siebie. Brzydził się teraz sobą i swoim pomysłem. W najwyszu-kańszych przekleństwach wyzywał rektora Diaza — wynalazcę Atrofiny, kłął swoich doradców i adiutantów.

Nie był jednak na tyle głupi, by zapomnieć o tym, że właśnie on zlecał i finansował badania, że to on zażyczył sobie takiej broni.

„Sny o sławie — myślał. — Sny o poprawieniu świata, o legendzie największego czło-wieka... A taki Raul, niby marzyciel, a w porównaniu ze mną okazał się stokroć bardziej praktyczny. Jeśli kiedykolwiek ludzkość ocknie się z tego koszmaru, w jaki ją wpędziłem, to tylko po to, żeby okryć moje imię największą hańbą”.

Wstyd, wstyd, wstyd!

Muanta oparł ręce na łokciach, a serce łomotało mu jak szalone.

— Ty ponury kretynie — powiedział do siebie. — Ty zacięty, ponury kretynie, ty stary matole.

Trochę jakby mu ulżyło.

— Wzięłbyś się za siebie, tępolu! — warknął. — Może byś coś zdecydował, idioto! Może jeszcze uda się coś naprawić, odwrócić? No!

Stanął przed robotem, którego wyłączył w pierwszym dniu swej wszechwładzy. Rozka-zał ponowne włączenie zasilania. Gonzales znów zaświecił.

— Słuchaj uważnie — zaczął mówić Muanta — wywołałem przy pomocy tych wyrzu-tni, które widziałeś, zanik woli u całej ludzkości. Ustal, czy proces ten jest odwracalny! — w jego głosie zadźwięczało błaganie.

— Tak jest, ekscelencjo.

— Nie mów do mnie ekscelencjo! Nazywaj mnie głupkiem!

— Tak jest, głupku!

Robot połączył się z głównym centrum informacyjnym.

— Nie ma żadnych danych — powiedział. — Czy mógłbym otrzymać większą ilość informacji?

Muanta gorączkowo zaczął mówić. Opowiadał komputerowi o współtwórcach wynalazku, przypomniał sobie wyjaśnienia rektora Diaza dotyczące technicznych szczegółów produkcji, w najgorszych słowach wyjawiał swoje intencje.

— Stop, głupku! — przerwał mu komputer. — Dostarczę te dane do centrum!

— A czy centrum znajdzie jakieś rozwiązanie?

— Tego nie wiem, głupku!

Centrum nadal żądało informacji, gdyż te, które podawał Muanta, nie wystarczały nawet do zrekonstruowania wzoru Atrofiny, a co dopiero do zwalczenia jej!

Dyktator męczył się jak nigdy, podsuwał coraz nowe projekty rozwiązań, ale bezduszne maszyny wciąż odpowiadały tak, jak niegdyś urzędnicy policyjni w państwie Muanty:

— Za mało informacji, głupku!

Aż wreszcie zażądały czegoś tak okropnego, że w byłym tyranie strach i bezsilność rozpoczęły walkę z egoizmem i pychą.

*

— Chwała Ci, Opatrzności! — ucieszyła się ciotka, zobaczywszy kogoś skradającego się w okolicy centrum holowizyjnego. — Zawsze

twierdziłam, że mam szczęście. Ale to... to ty, Marku?

— Pani mnie zna?

— Oczywiście, jestem przyjaciółką państwa Zborowskich! Jak ci się udało nie ulec tej zarazie?

— Nie wiem. Wszyscy dokoła, a ja...

— A my, mój drogi, a my. Ja to mam już za sobą. Świetnie, że się spotkaliśmy. Jesteś mi bardzo potrzebny. Bez drugiej osoby wyleczenie z tego świństwa jest w ogóle niemożliwe.

— Jeśli się do czegoś przydam...

— Oczywiście, kochany, oczywiście. Musimy zsyntetyzować doktora Mailera.

— Zsyntetyzować?

— Wyleczyć. Zaraz ci wszystko wyjaśnię.

*

— Nie, nie!

— Tylko to gwarantuje postęp w badaniach, głupku.

— Pozwólcie mi się zastanowić, pozwólcie mi pomyśleć!

— Proszę bardzo.

Muanta biegł ulicami, korytarzami i schodami zaglądając w oczy ludziom, którzy szkli-stymi spojrzeniami odpowiadali na jego wściekłe szarpania i okrzyki.

— Hej, hej! Obudź się! Obudź! — wrzeszczał Muanta, potrząsając mężczyzną, który mijał go właśnie sennym krokiem.

Tamten nic nie odpowiedział. Zatrzymał się i stał.

— Odpowiedz, dokąd idziesz?

— Do pracy.

— A co ty robisz?

— Maluję.

— Co?

— Obrazy.

— Pokaż mi te obrazy!

Mężczyzna ruszył posłusznie. W serce Muanty wstąpiła nadzieja. A może to tylko złudzenie? Może przesadził w ocenie sytuacji? Oto artysta malarz jak gdyby nigdy nic nadal maluje sobie obrazy. Nawet jeśli na razie nie czuje się w pełni szczęśliwy, to z czasem na pewno zrozumie, co dla niego dobre.

Weszli do pracowni. Muanta krzyknął z rozpaczą. Na ścianach, sztalugach, na stosie płócien w rogu zobaczył jeden jedyny brudnoszary kolor! Malarz zmieszał wszystkie farby w jednym kubku i równomiernie zakładał obrazy pędzlem raz przy razie.

Dyktator zdrzął. Wybiegł pędem z atelier i pognął z powrotem do Gonzalesa.

— Gdzie mam oddać ten kask? — spytał.

— Jeśli go zdejmiesz, sam go zaniosę do zbadania. Czy tylko ten jeden jest kompletny?

— Tak, wiem o tym z pewnością. Rektor Diaz zdążył przygotować tylko ten jeden.

— A więc oddaj mi go, a ja go przekażę komputerom do zbadania.

— A czy po rozwiązaniu problemu przywrócić ludziom wolę?

— O ile go rozwiążemy.

— Jeszcze chwileczkę.

— Proszę bardzo.

Dobrowolna rezygnacja z kasku, chroniącego przed Atrofiną, to niezbyt łatwa decyzja. Wódz poczuł zimne ciarki, wędrujące wzdłuż pleców, po karku aż do czubka głowy. Przecież tak łatwo zgodził się na to, aby inni popadli w atrofinowe otępienie. Ale on sam? Boleśnie, z niechęcią myślał o swoim losie. „Nie rób drugiemu, co tobie niemiło” — zadzwieczało mu gdzieś za uchem. Nie był pewny, czy to komputer się odezwał, czy jego własne sumienie.

Lęk gorszy niż przed śmiercią. A co będzie, jeżeli roboty się zbuntują? Jeżeli każą jemu — ekscelencji — na przykład chodzić na czworakach i szczekać?

A jeśli ludzie odzyskają własną wolę, ale jego za karę zostawią w takim stanie i każdy, kto będzie się chciał zemścić, będzie mógł mu wszystko rozkazać? Każde najgorsze zadanie, najgorszą funkcję? Już chyba lepiej zginąć, zabić się, a komputerowi polecić zdjęcie kasku. Ale jeżeli jest szansa, żeby się dowiedzieć, czy swoim poświęceniem coś osiągnął?

Jak postąpić? A może jednak wytrwać w samotności? Nie!!! Samotność Robinsona była niczym w porównaniu z jego samotnością! Jakże żałował, że zabrakło mu wyobraźni, że nie widział w każdej poszczególnej jednostce istoty niepowtarzalnej!

Uświadomił sobie, że w tej chwili wszyscy malarze na świecie

malują identycznie, jak ten spotkany na ulicy.

Zamajaczyły mu przed oczyma setki, tysiące brudnoszarych prostokątów.

— Uważaj! — krzyknął do Gonzalesa. — Masz!

I zerwał z głowy hełm ochronny. Maszyna złapała kask w dwa chwytaki, a dyktator zdumiony zorientował się, że nadal posiada wolną wolę.

*

Marek i ciotka Flora kilka godzin pracowali nad doktorem Mailerem, zanim wreszcie zaczął zdradzać wyraźne oznaki samodzielności. Wtedy, już w trójkę, zaczęli przywracać do zdrowia cały personel szpitala.

Samo leczenie trwało dość długo, około dwóch dni, a za w pełni zdrowych uważano tych, którzy osiągnęli tak zwaną „syntezę”.

Kuracja przebiegała w ten sposób: dwóch leczących sadzało pacjenta przy stole i wyda-owało mu sprzeczne polecenia. Na przykład jedna osoba mówiła:

— Proszę zapalić lampę!

A druga natychmiast kontrowała:

— Proszę zgasić lampę!

Pacjent posłusznie wykonujący zadania wracał na dalszą kurację, a ten, który osiągnął syntezę — był zdrow.

Synteza polegała na tym, że już po drugim lub trzecim rozkazie osoba o przywróconej indywidualności oświadczała coś w stylu: „Pocałujcie mnie w nos” albo: „Co to, czy jestem waszym automatem?” lub: „Jak się zdecydujecie, to mi powiedzcie” i taka reakcja potwierdzała odzyskanie zdrowia.

Kiedy już kilka osób znajdowało się w stanie pełnej świadomości, w drzwiach szpitala stanął były dyktator Muanta.

— Ludzie! — krzyknął. — Żywi ludzie! — Zatoczył się jak pijany.

— Ludzie, powiedzcie coś do mnie! — zaczął błagać padłszy na kolana. — Proszę!

— Jest pan wyjątkowym kretyńcem — wycedziła z irytacją ciotka Flora.

— O tak, śliczna pani, o tak! Pięknie to powiedziałaś,

samodzielnie, z siebie, z własnej woli! Powiedz mi coś jeszcze, powiedz!

IMuanta rzucił się całować ciotkę po rękach.

— Niech się pan przestanie wygłupiać — poprosił doktor Mailer.
— Nie widzi pan, że pracujemy?

— Widzę, moi kochani, widzę, moi jedyni! Jak ślicznie z własnej woli pracujecie! Z własnej woli! Róbcie, co dusza zapagnie! Tak! tak! Niech nikt mnie nie słucha! Zróbcie coś, żebym już nigdy nie musiał rozkazywać!

— O to może pan być spokojny!

— Dobrodzieju! Łaskawco! Wracasz mi życie! Więc jest szansa! Więc zróbcie coś, by ludzkość była znowu taka cudownie, taka wspaniale nieposłuszna! Wyleczycie ich wszy-stkich, prawda?

— Prawda, prawda. Siostro, proszę dać mu coś na uspokojenie!

— Ależ ja już jestem spokojny! Jeżeli obiecujecie mi, że wróci wolność, to jestem spokojny i szczęśliwy! Niech żyje wolność!

*

Upłynęło sporo czasu, zanim syntezę osiągnęła cała ludzkość. Bądź co bądź dwadzie-ścia miliardów...

W oczach dziennikarzy czyn Marka stanowił pewną przeciwwagę postępku Muanty, urastał wręcz do rangi symbolu.

— Dwaj goście z poprzedniego stulecia przynieśli ze sobą nie tylko zło, ale i hart ducha naszych dziadów — pompatycznie oświadczył prezenter Ryps, zagajając w studiu dyskusję o skutkach wyczynu dyktatora.

Kiedy minęło pierwsze oburzenie, Muanta Portale y Grazia zaczęła głównie śmieszyć. Trudno było wprost uwierzyć, że ów pozbawiony zupełnie wyobraźni, skrajnie egoistyczny człowiek mógł zaledwie osiemdziesiąt lat temu rządzić całym państwem.

Kamery holowizyjne zarejestrowały szczęśliwie przebieg jego wewnętrznych zmaganiań. Wielokrotnie pokazywano w dziennikach scenę, w której Muanta rozkazuje komputerowi mówić do siebie „głupku”. Jakież to było żałosne, bezradne, komiczne! On naprawdę nie wie-dział, do czego prowadzi jego zachowanie! Próbował nakazać myśli, działania, emocje!

Nikomu nie przyszło nawet do głowy, aby ukarać tego

śmiesznego, przerażonego sta-ruszką. Były dyktator na własne życzenie zaczął pracować jako przewodnik po ruinach obozu „Dulce Patria”.

Tatusiu!

Wiem, że jest minimalna nadzieja, abyś otrzymał ten list.

Pytałem Głowopukacza (to taki wielki komputer-humanista) i powiedział, że na razie nie ma sposobów, aby przesyłać korespondencję do tyłu, w przeszłość.

Ale przecież nauka wciąż się rozwija. Może kiedyś ktoś wymyśli maszynę czasu i wyśle moją kopertę. Siegasz do naszej skrzynki, dajmy na to w marcu 1980 roku, i czytasz każde słówko! Nie mogę ci oczywiście napisać, co się dzieje obecnie, bo na pewno zakazano by przesyłania takich informacji. Wybacz więc, że napiszę tylko o sobie.

Jest rok 2064 i ja już mam dziewiętnaście lat. Uczę się dobrze i niedługo skończę studia. Studiuję historię. Pewnie cię to zdziwi, ale zacząłem się interesować naszą przeszłością. Przeszłością nas — ludzi.

Mam życzliwych przyjaciół i opiekunów. Jestem zdrowy. Mam zmartwienia i radości, a Twoje listy czytam bardzo często. Nadal jesteś dla mnie najbliższym, najserdeczniejszym przyjacielem i doradcą. Wydaje mi się, że nie przynoszę ci wstydu. Staram się być wolny i odpowiedzialny.

Jestem Ci wdzięczny i uważam, że postąpiłeś słusznie

Twój kochający syn Marek

Spis rozdziałów

Rozdział pierwszy czyli Łatwiej zacząć niż skończyć	02
Rozdział drugi czyli Gorączka i chłód	13
Rozdział trzeci czyli Ciasteczka, maskarady i rewolucja	21
Rozdział czwarty czyli Z celem łatwiej dojść do środków	30
Rozdział piąty czyli Wyspa i grot	39
Rozdział szósty czyli Nauka	50